



W numerze:

Niebezpieczne egzorcyzmy minister Nowackiej. Odejście od prac domowych to szkodliwy pomysł	
Piotr Zaremba	3
Szkoła nie przygotowuje do życia we współczesnym świecie. Czas na decentralizację	
Przemysław Gębala	9
Fryderyk Wilhelm III nadal krzywdzi małe dzieci. Polska szkoła to mem	
Rafał Skoczewski	14
Nie będzie czasu na „haratanie w gałę”. Początek roku 2024 może zdecydować o losach Polski	
Piotr Michał Kosmęda	30
„I teraz, tato, my tatę wykończymy”. Demokraci czytają Izaaka Babla	
Wojciech Stanisławski	35
Rosja atakuje Kijów i Charków. Sędziowie uchylają ustawę Netanjahu Niezbędnik Zagraniczny NK, 30.12.2023-05.01.2024	
dr Tomasz Gajewski	39
Przystąpienie do strefy euro nie leży w gospodarczym interesie Polski. To pułapka	
prof. Kazimierz Dadak	47
Czy naprawdę Ukraina i Zachód przegrywają?	
Robert Kuraszkiewicz	52
Państwo Schrödingera i gra w cykora. Ponowienie aktu łaski nie zakończy kryzysu	
Piotr Trudnowski	57
Tusk upokarza Dudę, prezydent przegrzewa temat. Ta sytuacja ośmiesza państwo	
Patryk Gorgol	60
W kosmosie jesteśmy skazani na brutalny realizm (geo)polityczny	
Everett C. Dolman	63
Polska może przestać być słabym biorcą. Powstały nowe ramy naszego realizmu politycznego	
gen. Leon Komornicki	73

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego



**Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego**

Niebezpieczne egzorcyzmy minister Nowackiej. Odejście od prac domowych to szkodliwy pomysł



PIOTR ZAREMBA

Historyk, dziennikarz, publicysta, komentator polityczny i krytyk teatralny. Od 1991 roku pracuje jako dziennikarz, m.in. w „Nowym Państwie”, „Newsweeku”, „Rzeczpospolitej”, „Uważam Rze”, „Gazecie Polskiej”, „Gazecie Wyborczej”, „Dzienniku”, „Polsce The Times”, „Tygodniku Powszechnym”, „W Sieci”.

Totalne uderzenie w tradycyjną szkołę widzę jako wstęp do gorzej funkcjonującego społeczeństwa. Z jednej strony – mniej odpornego na rozmaite pokusy czy patologie. Z drugiej – bardziej nierównego, rozwarstwowanego

W jakim stopniu szkoła, edukacja, szkolny system były w III Rzeczypospolitej tematem polityki? Bywały, ale z reguły w sposób ułomny, zdawkowy, niejako przy okazji innych tematów. Kiedy pod koniec lat 90. ubiegłego wieku koalicja AWS-UW przeprowadziła instytucjonalną rewolucję, zmieniając dwuszczeblową organizację na trzyszczeblową, w zasadzie debaty politycznej nie było. Nawet lewicowa opozycja tego nie podważała. Twórcy reformy odсыłali do ekspertów.

Kłótnie o edukację

Potem ten system był nadal poprawiany. Rząd Donalda Tuska zmienił programy nauczania i układ przedmiotów tak, że druga i trzecia klasa szkoły ponadgimnazjalnej (liceum, technikum) stały się kompletnie przygotowanymi do matury. To spotkało się z pewnymi oporami. Krytykowano zwłaszcza rezygnację z nauczania do samego egzaminu maturalnego normalnej kursowej historii. Ludzie o bar-

dziej tradycyjnych poglądach zwracali uwagę na tożsamościowy charakter tego przedmiotu.

Prawo i Sprawiedliwość zapowiedziało podczas kampanii wyborczej w roku 2015 powrót do systemu dwuszczeblowego, a więc przywrócenie silnego, czteroletniego ogólnokształcącego liceum. Padały za tym różne argumenty: że zbyt częste zmiany kolejnych szkół są dla młodych ludzi źródłem stresu i że uniemożliwiają spójny, bardziej długofalowy program wychowawczy. Politycy PiS tłumaczyli też, że chcą przedłużyć czas edukacji ogólnej, w miejsce zbyt wczesnych specjalizacji. Początkowo reakcje ich przeciwników były niespójne i blade. Także i dlatego, że trzyletnie gimnazja nie miały najlepszej reputacji. Jednak kiedy pisowski rząd zabrał się po roku 2015 za ich likwidację, opozycja uznała je za narodowe dobro i zaczęła reformę, nazywaną „deformą”, kontestować. Pewne argumenty krytyków miały sens. W mniejszych miejscowościach niedawno utworzone gimnazja jawiły się

jako realny dorobek lokalnych wspólnot. Mieliśmy tu klasyczny przypadek racji podzielonych.

W ostatnich latach edukację przedstawiano jako teren ideologicznej opresji ze strony prawicy. Także dlatego, że pierwszych, dość przezroczystych ministrów: Annę Zalewską i Dariusza Piontkowskiego zastąpił podczas drugiej pisowskiej kadencji słynący z wojowniczych wystąpień na tematy cywilizacyjne Przemysław Czarnek. Pewne zmiany przeforsowane przez niego jawiły się jako efekt nadgorliwości.

Znam szkoły w Warszawie, gdzie na lekcjach HiT uczono normalnej historii, niejako w podwójnym wymiarze godzin

Najbardziej znamienne było stworzenie dodatkowego przedmiotu „historia i teraźniejszość”, dublującego w pierwszej i drugiej klasie liceów i techników normalny kurs historii. Wraz z mocno politycznie zaangażowanym podręcznikiem prof. Wojciecha Roszkowskiego pozwalał on twierdzić, że tamta władza była zainteresowana indoktrynacją młodych ludzi jeszcze na wiele lat przed maturą. W programie i w podręczniku Roszkowskiego pojawiały się komentarze do niemal bieżącej polityki.

Trudno tego nie uznać za ciężki błąd, częściowo jednak niwelowany przez opór niezbyt przychylniej prawicy kadry nauczycielskiej. Znam szkoły w Warszawie, gdzie na lekcjach HiT uczono normalnej historii, niejako w podwójnym wymiarze

godzin. Nauczyciele od kilku lat skonfliktowani z rządzącymi także o stan swoich płac, byli słabym ogniwem programu przebudowy dusz najmłodszego pokolenia – w bardziej tradycyjnym kierunku. Skądinąd ten program nigdy nie był ani kompletny ani konsekwentnie wcielany w życie. Tym chętniej opozycja go demonizowała.

Innym przejawem nadgorliwości Czarnka były pomysły na większą centralizację systemu szkolnego. Kuratorzy mieli pilnować między innymi niewpuszczania do szkół organizacji pozarządowych o progresywnym zabarwieniu. Te pomysły, mające postać tak zwanego „lex Czarnek”, były dwukrotnie blokowane wetami prezydenta Andrzeja Dudy. Można teraz oczekiwać wychylenia wahadła w drugą stronę.

Progresywne egzorcyzmy

Temu służy powierzenie funkcji ministra edukacji Barbarze Nowackiej. Jest ona politykiem Koalicji Obywatelskiej, ale reprezentuje w niej odrębne lewicowe skrzydło. Jej pierwsze gesty przypominają progresywne egzorcyzmy. Pani minister pojechała specjalnie do Krakowa, aby mieć przyjemność osobistego usunięcia konserwatywnej kurator Barbary Nowak. Zasłynęła ona kontrowersyjnymi, istotnie zbyt ideologicznymi wpisami w internecie. Tak naprawdę w działaniach nie różniła się od innych kuratorów wojewódzkich, których odwołuje się w atmosferze triumfu co do jednego. Minister Nowacka ogłosiła „koniec średniowiecza” w województwie małopolskim.

Innym przejawem edukacyjnej rewolucji (a może kontrrewolucji?) jest zapowiedź redukcji godzin lekcji religii w szkołach z dwóch godzin tygodniowo do jednej. Nakłada się to na wyraźną erozję tego

przedmiotu. W starszych klasach szkół ponadpodstawowych, szczególnie w wielkich miastach, młodzież masowo się z nich wypisuje. Nowy rząd jest wyraźny zainteresowany wsparciem tego procesu administracyjnymi decyzjami. Można dyskutować, czy państwo realizuje tym samym model światopoglądowej neutralności, czy wspierając laicyzacyjne trendy, neutralność porzuca.

Przejawem nadgorliwości Czarnka były pomysły na większą centralizację systemu szkolnego

Czeka nas zapewne rewizja list lektur będących od dawna przedmiotem ideologicznych kontrowersji. Wybuchają one zwykle najmocniej w okolicach matur. Zarzucano twórcom szkolnych programów, że katują dzieci i młodzież zbyt tradycyjną, archaiczną literaturą. Niektóre klasyczne pozycje opisywano jako rasistowskie i kształtujące niewłaściwe wzorce wychowania. Ponieważ zmiana władzy nastąpiła w środku roku szkolnego, na razie mamy do czynienia głównie z sygnałami publicystycznymi. Agata Passent postuluje wyrzucenie „W pustyni i w puszczy”, a tak naprawdę całej twórczości Henryka Sienkiewicza. Co charakterystyczne, powołuje się na opinie uczniów elitarnego liceum w Sopocie. Są oni wychowankami progresywnego nauczyciela Przemysława Staronia, który od dawna nawołuje do edukacyjnego trzęsienia ziemi.

Jest wszakże jedna zapowiedź tyleż niejasna, co obfitująca w konsekwencje wykraczające poza spory czysto ideowe.

Oznacza ona bowiem początek podważania tradycyjnej szkoły jako takiej, z jej organizacją i zasadami działania.

Nie zadawajcie do domu

W punkcie czwartym umowy koalicyjnej dostaliśmy opis zmian w edukacji. Mamy obietnicę dawania na nią więcej pieniędzy, wyrzucenia z niej polityki (?), pomnożenia liczby szkolnych psychologów. Mamy zapowiedź odchudzenia podstawy programowej, bo dzieci i młodzież odczuwa podobno w szkołach przeciążenie. Ale dostajemy też znamieny podpunkt: „Ograniczymy obowiązki związane z zadawaniem prac domowych, tak by czas po szkole był przeznaczony tylko dla rodziny i rozwijania swoich pasji”.

Podczas samej kampanii padały ze strony Donalda Tuska i Rafała Trzaskowskiego, jeszcze bardziej zdecydowane zapowiedzi: „Skończymy z zadawaniem prac domowych w szkołach”. Tusk wdał się nawet na jednym z wieców w rozmowę z dzieckiem, które opowiadało, jaka obecna szkoła jest straszna i opresywna. W ten kierunek myślenia włączył się podobnymi obietnicami także Szymon Hołownia.

Tu dostajemy bardziej umiarkowaną formułkę „ograniczenia”. Do jakich rozmiarów? Czy ktoś to tak naprawdę zbadał? Kto tak wie, ile, co i w których klasach jest zadawane? Czy jacyś eksperci podrzucili tę myśl liderom KO i Trzeciej Drogi? Myślę że politycy rzucając swoje zapowiedzi ograniczyli się do zasłyszanych od znajomych strzępków, wrażeń.

Pojawiają się od razu wątpliwości. Jest jasne, że aby zagwarantować równość szans edukacyjnych, programy szkolne są zasadniczo zunifikowane (choć z rozmaitymi wyjątkami jak szkoły z programami autorskimi). Kanon musi istnieć

ze względu na jednolite egzaminy – na koniec podstawówki i maturalny. Czy jednak unifikacji powinny podlegać także metody pracy nauczyciela z uczniem? Taką metodą jest podział na to, co robi się w szkole i na to, co zadaje się do domu.

Innym przejawem edukacyjnej rewolucji (a może kontrrewolucji?) jest zapowiedź redukcji godzin lekcji religii w szkołach z dwóch godzin tygodniowo do jednej

Dopiero co Czarnka i PiS oskarżano o niedopuszczalną centralizację edukacyjnego systemu. Teraz, jeśli traktować tę zapowiedź nie jako efektowny frazes, a zapowiedź realnej zmiany, prowadziłyby ona do dość bezwzględnej kontroli nad aktywnością nauczycieli. Skądinąd obdarzanych, i słusznie, właśnie podnoszonymi płacami. Ale z równoczesnym pętaniem ich rąk, a w każdym razie z sugestią takiego pętania.

Wydaje się, że może to być, choć pewnie nie musi, krok w kierunku rozmontowywania tradycyjnej szkoły. Takie trendy pojawiają się w Polsce od lat, choć na razie w postaci bardziej mody niż spójnego programu. Co roku, znów zwłaszcza w okolicach matury uaktywniali się zwolennicy jakiegoś alternatywnego modelu nauczania i wychowywania.

Przykładowo w roku 2019 Łukasz Ługowski, dyrektor ośrodka terapeutycznego „Kąt”, prowadzącego własne liceum, żądał

na łamach „Gazety Wyborczej”, szczególnie chętnie patronującej takim pomysłodawcom, skasowanie matur jako zbyt opresywnych, narażających na niepotrzebne stresy. Postulował on też likwidację ocen ze sprawowania. Za przykład stawiał fiński system edukacyjny, który rezygnuje z podziału na przedmioty i podobno uczy przede wszystkim „krytycznego myślenia”.

Nawet wśród czytelników „Wyborczej” taki radykalny kierunek budził kontrowersje. Oto jedna z reakcji: „1. Nie przesadzałabym z zachwytem nad osiągnięciami szkoły fińskiej – często jeżdżę do Skandynawii i Finlandia jest tam jedynym krajem, gdzie nie wszędzie da się porozumieć po angielsku, czyli nauka języków coś nie bardzo. 2. Jak się nie ćwiczy pamięci, to ta zanika i się rozleniwia – nauka wierszyka albo piosenki robi dobrze rozwojowi mózgu rosnącego dziecka. 3. Nie wszystko trzeba dokładnie pamiętać i wiadomo, że wiele rzeczy można sprawdzić w Wikipedii, ale treść do Wikipedii też ktoś wkłada i jak on też będzie bazował nie na własnej wiedzy, tylko na tym, co znalazł w Wikipedii, to system wiedzy się zapętli. 4. Nie możemy zakładać, że połączenia internetowe, chmury i wszelkie nowsze wynalazki będą działać niezawodnie i wiecznie. Dziecko, którego szkoła nie nauczy pisania ręką, bo «żyjemy w kulturze cyfrowej», jak zgubi smartfona, to będzie analfabetą – nie zapisze na papierku nawet numeru telefonu do właśnie poznanej fajnej koleżanki. 5. Założenie, że nic nie musimy pamiętać, a nawet wiedzieć, bo mam internetowe źródła wiedzy, jest naiwne i głupie – wyobraźmy sobie pacjenta, który opowiada lekarzowi o swoich dolegliwościach, a lekarz mówi «proszę chwilę poczekać, sprawdzę tylko w Wikipedii, co to jest biegunka i co może być jej przyczyną»”.

Takie zastrzeżenia powinny być podstawą do pogłębionej debaty, a nie rzucania efektywnych hasełek przyjmujących postać infantylnego populizmu. Mniej mam tu nawet na myśli takich ludzi jak Ługowski, czerpiący swoje doświadczenie z bardzo specyficznej pracy z tak zwaną trudną młodzieżą. Mam na myśli przede wszystkim polityków.

Przestrogi doktor Archackiej

Pułapki kryjące się w zapowiedziach nowej koalicji zauważyła celnie doktor Magdalena Archacka, dziekan Wydziału Pedagogicznego Akademii Humanistyczno-Ekonomicznej w Łodzi. Udzieliła ona zaraz po pojawieniu się owego edukacyjnego „programu” wywiadu Krystynie Romanowskiej w magazynie „Wprost”. Zauważyła celnie, że prace domowe zadaje się nie tylko dla poszerzania wiedzy, ale dla rozbudzania w młodych ludziach pewnych nawyków. To w szkole powinni się uczyć wypełniania rozmaitych obowiązków, także takich, które stanowią nielubiane obciążenie. Tego będzie się od nich oczekiwać w życiu, tak zawodowym jak i prywatnym. To akurat wcale nie traci na aktualności.

Pani doktor odniosła się sceptycznie do pewnego stereotypu, jakim chętnie szermują rzecznicy „edukacji przyszłości”: „Nie można zgodzić się na ideę szkoły, która z założenia ma stać się «instytucją mającą nauczyć krytycznego myślenia», czyli nieustannego dekonstruowania i podważania fundamentów kultury, nauki, zwyczajów, tradycji społeczeństwa, w którym przyszło nam żyć. Pojawia się pytanie: co będzie podlegać krytyce, jeśli młody człowiek nie będzie rozumiał kodów kulturowych budujących przeszłość i teraźniejszość? Społeczeństwo dobrowolnie zrzeknie się odpowiedzialności za młode

pokolenie, oferując mu jedynie samodzielne wybory, krytykę i zabawę, która dla kontynuatorów idei «odszkolnienia» stanowi podstawową formę uczenia się. Jeśli na szalę rzucają się tak poważne argumenty, jak kryzys obywatelskości i demokracji, to kolejne pytanie brzmi: o jakiej obywatelskości możemy mówić wówczas, gdy dorastający ludzie nie są przygotowani do odpowiedzialnego uczestniczenia w życiu, które – choć to bardzo niepopularne i niemodne – składa się nie tylko z poczucia szczęścia, ale codziennej, rzetelnej i sumiennie wykonywanej pracy?”

Tusk wdał się nawet na jednym z wieców w rozmowę z dzieckiem, które opowiadało, jaka obecna szkoła jest straszna i opresywna

Ale w tendencjach związanych z kasowaniem prac domowych, a chyba i z traktowaniem podstawy programowej jako jednego wielkiego obciążenia nakładanego na barki uczniów, doktor Archacka zauważyła jeszcze inny kontekst – klasowy: „Narracja mówiąca o «odszkolnieniu» jest budowana na podstawie wielokrotnie powtarzanych frazesów o pruskim systemie edukacji. Totalna krytyka szkoły prowadzi do konstatacji: każda opieka, troska i nauczanie są nierozzerwalnie związane w przemocą psychiczną, symboliczną i systemową. Twórcy i uczestnicy takiego monologu nie są w stanie wskazać żadnego realnego programu stanowiącego propozycję naprawy szkolnictwa publicznego.

Słyszymy o edukacji domowej, placówkach prowadzonych przez fundacje, szkołach niepublicznych, alternatywnych systemach o mglistym programie nauczania zgodnym z ideami przyświecającymi danemu twórcy czy organizacji. Wszystkie te propozycje – niestety – prowadzą moje myślenie w kierunku konstatacji, że chcemy budować społeczeństwo klasowe, ba – klasistowskie”.

„Dlaczego?” – pyta dziennikarka.

„Dzieci z wysokim kapitałem kulturowym wyniesionym z domu (a to ich rodzice najczęściej skarżą się na szkodliwość szkoły), mają mieć – zgodnie z tą wizją – dostęp do alternatywnych systemów nauczania. A dzieci z domów o niskim kapitale kulturowym, dla których edukacja zawsze była i jest szansą na lepsze życie, mogą zostać jej pozbawione, ponieważ publiczne szkoły powinny zniknąć. Czy tylko mi się wydaje, że ta dystopia jest w swojej wymowie kompletnie antydemokratyczna, antyegalitarna i kompletnie nieemancypacyjna? Co bowiem będziemy mieli na wyjściu? Edukację zarezerwowaną dla jakiejś «świadomej i oświeczonej» części społeczeństwa”.

Po co ta dyskusja?

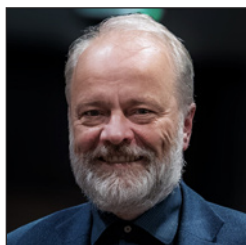
Nie przeczytałem jak do tej pory równie spójnego tekstu podważającego to rozumowanie. Tak obszerne cytaty wynikają z prostego faktu: to jest także mój sposób myślenia. Naturalnie jestem otwarty na dyskusję o odchudzaniu szkolnych programów czy o wprowadzaniu do nich elementów odkrywania różnych aspektów nowoczesności: technologicznej czy organizacyjnej. Ale totalne uderzenie w tradycyjną szkołę widzę jako wstęp do gorzej

funkcjonującego społeczeństwa. Z jednej strony – mniej odpornego na rozmaite pokusy czy patologie. Z drugiej – bardziej nierównego, rozwarstwowanego. Tradycyjna szkoła to także gwarancja dobrze pojętego egalitaryzmu.

Dr Archacka: prace domowe zadaje się nie tylko dla poszerzenia wiedzy, ale dla rozbudzania w młodych ludziach pewnych nawyków. To w szkole powinni się uczyć wypełniania rozmaitych obowiązków, także takich, które stanowią nie ulubiane obciążenie

Spór o religię w szkołach czy o lektury, które powinny nie tylko bawić, ale także uczyć zrozumienia przeszłości, bez czego nie ma rozumienia teraźniejszości, to tylko jeden z elementów szerszego dyskursu. Nie wiem, jak bardzo świadomi konieczności takiego dyskursu są panowie Tusk, Trzaskowski czy Hołownia, a wreszcie politycy kawiorowej lewicy, którzy dostali jako zabawkę resort edukacji. Myślę, że o tym powinno się rozmawiać i jest to jak najbardziej rozmowa o istocie polityki. Jedna z wielu, ale bardzo ważna. A czy ich zapowiedzi to początek rozkręcania zdradliwej tendencji czy tylko epizod? Dowiemy się w najbliższych latach.

Szkoła nie przygotowuje do życia we współczesnym świecie. Czas na decentralizację



PRZEMYSŁAW GĘBALA

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”, absolwent UAM na kierunku fizyka teoretyczna. Sekretarz redakcji i dziennikarz Wielkopolskiej Gazety Handlowej. Członek zespołu redakcyjnego, a później również wydawca pisma konserwatystów i liberałów „Stańczyk”. Przedsiębiorca

Czy jest możliwa centralnie przeprowadzona reforma edukacji w kraju tak spolaryzowanym przez polityczne emocje, rozkręcające się – z niewielkimi pauzami – od upadku systemu komunistycznego?

Przekonanie o tym, że polski system edukacji jest anachroniczny i nie przygotowuje uczniów na zmaganie się z problemami współczesnego świata jest w Polsce powszechne. Zmiany w tym systemie, wdrażane na poziomie operacyjnym przez ostatnie lata, nie zadowolają nikogo. Publiczne spory, które toczymy o kształt systemu oświatowego, dyskutując na temat rozwiązań organizacyjnych (gimnazja, czy nie; zadania domowe, czy nie) lub programowych (HiT czy inna narracja polityczno-historyczna; religia czy etyka), potrafią być bardzo gorące. Jednak mimo ostrości ich form wieje od nich intelektualną martwością i semantyczna pustką.

Rzeczywista reforma systemu edukacji w Polsce wymaga czegoś więcej niż prób wymyślenia rozwiązań organizacyjnych i programowych, które będzie można oprzeć o jakąś, chwiejną z natury, parlamentarną większość. Wymaga, jak sądzę, najpierw ponownego uświadomienia sobie, że podmiotem edukacji jest umysł powstający i działający zarówno indywi-

dualnie, jak i społecznie. A także wyciągnięcia z tego faktu wniosków w oparciu o stan dzisiejszej wiedzy z zakresu psychologii, szczególnie w wymiarze behawioralnym i ewolucyjnym, jak i z neuronauk.

Umysł i jego środowisko

Umysł człowieka spełnia wiele funkcji. Tym jednak, co wyróżnia go od możliwości dostępnych dla wszystkich innych stworzeń jest kilka unikatowych zdolności. Po pierwsze – ma zdolność zapamiętywania dokonywanych obserwacji i ich świadomego analizowania. Po drugie – cechuje go ciekawość jako chęć oraz umiejętność rozpoznawania i nazywania wzorców, zależności. Po trzecie – umie, i robi to z dużą łatwością, tworzyć modele zjawisk zachodzących w otaczającym go świecie i porównywać wyniki prognoz budowanych w oparciu o te modele z rzeczywistością. Po czwarte – potrafi, choć z niemałym wysiłkiem, tworzyć modele wyższego rzędu – uogólnienia.

Środowiskiem, w którym osadzony jest umysł człowieka jest przede wszystkim mózg. Mózg jest jak mięsień – potrzebuje ćwiczeń, stymulacji. Ćwiczmy pamięć, zdolności rozpoznawania wzorców – emocji, relacji, zależności, przyczynowości. Mózg potrzebuje higieny psychicznej – snu, rozpoznawania emocji własnych oraz cudzych, aby sobie z nimi radzić, świadomego zaspakajania potrzeb własnych i innych osób.

Szkoły, jakkolwiek by się nie nazywały – przedszkolem, podstawówką, gimnazjum, zawodówką, technikum, liceum, akademią, uniwersytetem, kursem – są areną, na której zmagamy się z dostępnymi każdemu z nas indywidualnie zdolnościami i wrażliwościami oraz ich konsekwencjami dla osobistego i społecznego rozwoju. Po to, aby w sposób zorganizowany nabyć umiejętności korzystne społecznie: komunikowania się, tworzenia wiedzy i jej praktycznego stosowania. Czy opuszczamy je dobrze przygotowani?

Edukacja a władza

Aby odpowiedzieć na tak postawione pytanie sięgnę do spostrzeżeń Odeda Galora zawartych w książce „Podróż ludzkości. O pochodzeniu bogactwa i nierówności”. Opisując sposób, w jaki Europa opuściła pułapkę Malthusa – tworząc możliwości edukacyjne, dzięki którym rodzicom bardziej opłacało się inwestować w wykształcenie swoich dzieci niż tylko w ich ilość – Oded Galor zwrócił uwagę na inspirujący wpływ sojuszu władzy z zapotrzebowaniem społecznym.

Rozwijający się przemysł, coraz bardziej automatyzując wykonywane prace, stwarzał zapotrzebowanie na umiejących czytać i pisać, elementarnie wykształconych pracowników. Przemysłowcy i ban-

kierzy stanowili naturalny punkt oparcia dla władzy króla i parlamentu równoważący wpływy niechętnego rozwojowi edukacji ziemiaństwa, obawiającego się utraty dominującego wpływu na lepiej wykształconych pracowników rolnych i ich ucieczki ze wsi do industrializujących się ośrodków miejskich. Sojusz władzy i nowych sił społecznych powstających na bazie gromadzonego kapitału przemysłowego prowadził w kolejnych krajach Europy do likwidacji analfabetyzmu i do upowszechnienia opartego o zasoby państwa systemu nauczania korzystnego dla wszystkich.

Mózg jest jak mięsień – potrzebuje ćwiczeń, stymulacji

Ten mariaż między beneficjentami rewolucji przemysłowej a władzą – poszerzający sferę wolności dzięki powszechności edukacji, budujący kapitał ludzki i szybki postęp technologiczny – zaczął przynosić jednak coraz skromniejsze owoce. Tak pisze o tym Galor: „Jednak w XX wieku, wraz ze spadkiem tempa zmian technologicznych w branżach wymagających niskich kwalifikacji, wpływ industrializacji na poziom życia zmienił swój charakter. Przemysł oparty na niskich kwalifikacjach nie zachęcał do budowy kapitału ludzkiego i nie sprzyjał wzrostowi gospodarczemu, lecz go dławił – podobnie jak w przeszłości rolnictwo”.

Przemysł w ramach przyjętej dzisiaj formuły globalizacji – dopowiedzmy – zamiast kreować zapotrzebowanie na rozwój technologii, wymagających lepiej wykształconych, bardziej świadomych pracowników, skorzystał ze znacznie tańszych

zasobów, z „siły roboczej”, której nie brakowało w mniej rozwiniętych krajach włączających się do globalnej wymiany dóbr i usług. Częściowo również w Polsce.

Jesteśmy lokalni

Jak więc odpowiedzieć na pytanie: czy opuszczając nasze szkoły jesteśmy przygotowani do życia w świecie zmiennym, zglobalizowanym, a jednocześnie marnującym część naszych naturalnych, indywidualnych predyspozycji nisko wycenianych w globalnym podziale pracy? Dla mnie odpowiedź jest oczywista – nie jesteśmy!

Sojusz władzy i nowych sił społecznych powstających na bazie gromadzonego kapitału przemysłowego prowadził w kolejnych krajach Europy do likwidacji analfabetyzmu

Umysł człowieka jest przystosowany do życia w małych społecznościach, lokalnie. Przez stulecia wypracowaliśmy sobie, budując naszą cywilizację, kulturę, ramy instytucjonalne i system powszechnej edukacji zdolność do funkcjonowania w coraz bardziej złożonych i zróżnicowanych społecznościach. Byliśmy w stanie racjonalizować i efektywnie pożytkować coraz większą ilość informacji. Ale w świecie niesionym możliwościami dokonującej się na naszych oczach cyfrowej rewolucji, w gęstniejącej sieci powiązań i wzajemnych

zależności, przy stale rosnącym zróżnicowaniu społeczności, jakie tworzymy, dotychczasowy model edukacyjny potrzebuje czegoś więcej niż emocji rozbudzanych próbami tasowania talii wciąż tych samych kart.

Co jest więc pożądanym modelem oświaty wyższego rzędu? Uogólnieniem dotychczasowego, efektywnego wiele pokoleń temu sposobu działania? Odpowiadając na tak postawione pytania sięgnijmy do potrzeb wynikających z tego, czym nasz umysł jest – zdolności zapamiętywania, ciekawości, łatwości tworzenia modeli oraz pełnego intelektualnego wysiłku budowania uogólnień.

Edukacja do adaptacyjności

Koniecznością wynikającą z poziomu złożoności i związanej z tym zmienności współczesnego świata jest adaptacyjność tworzonych przez nas systemów społecznych na wszystkich ich poziomach, która rodzi pilną potrzebę uczenia i doskonalenia umiejętności wspólnego działania jednostek o różnych wrażliwościach i umiejętnościach. Tylko takie zespoły – jak sądzimy w naszym kręgu cywilizacyjnym, opartym o przewidywanie (szerzej o tym pojęciu w artykule pt. *Uwertura nadchodzącego kryzysu. Geopolityczne szachy kontra globalne go*), jako sposób cyrkulacji elit – są w stanie na podstawie myślenia krytycznego zamieniać konflikty współczesności w rozwiązywalne dylematy przyszłości.

Do tego potrzebne są: po pierwsze – umiejętność rozpoznawania i nazywania własnych emocji, aby efektywnie były w stanie spełniać swoją rolę jako marker behawioralny, a nie punkt zaczepienia dla wojen behawioralnych. Po drugie – umiejętność właściwego rozpoznawania

i identyfikowania cudzych emocji. Po trzecie – umiejętność stawiania granic. Po czwarte – świadomość konieczności i umiejętność budowania we własnym umyśle przestrzeni na myślenie krytyczne, czyli czasu pomiędzy silnym bodźcem do działania, a naszą na niego reakcją. Oraz – last but not least – świadomość manipulacyjnego potencjału polaryzacji, kiedy nasze emocje padają łupem polityków.

Jakikolwiek system edukacyjny niezależnie od swojej formy organizacyjnej i zestawu programowego, jeżeli nie będzie uwzględniał tego, jak działa umysł człowieka, czego potrzebuje i w jaki sposób przygotować go do zespołowego działania, wykorzystującego maksimum potencjału różnorodności dla budowania adaptywnych systemów społecznych, nie będzie z stanie przygotować nas do działania we współczesnym świecie. A w szczególności do sprostania wyzwaniom stawianym nam przez miejsce w jakim żyjemy – Polskę z jej bagażem geograficznym, historycznym i społeczno-politycznym.

Umówmy się na Polskę

Czy jest możliwa centralnie przeprowadzona reforma edukacji w kraju tak spolaryzowanym przez polityczne emocje, rozkręcające się – z niewielkimi pauzami – od upadku systemu komunistycznego? Czy w ogóle w świecie, którego naturą jest kontekstowość, czasowość, szczególność i lokalność (szerzej o błędzie nowoczesności w eseju pt. *Ponowoczesność*) należy wiązać nadzieje z centralnie przygotowywanymi reformami? Nie powinno być w tym miejscu dla nikogo zaskoczeniem, że na oba te pytania odpowiem negatywnie. Jakże zatem jest wyjście z sytuacji, która prowadzi do tymczasowych z natury, nietrwałych i budzących niszczące

społecznie emocje centralistycznych rozwiązań?

Warto w tym miejscu przyjrzeć się propozycjom stowarzyszenia Inkubator Umowy Społecznej opublikowanym w książce „Umówmy się na Polskę”. Zespół autorów o różnych wrażliwościach i sposobach patrzenia na sprawę społeczno-polityczne proponuje reformę ustrojową Polski w oparciu o decentralizację. Jeden ze współautorów książki i współprzewodniczący Rady IUS prof. Antoni Dudek wręcz proponuje w swoich wypowiedziach medialnych rozpoczęcie tego procesu, w obliczu emocjonalnego zapętlenia stron politycznych konfliktów w Polsce, od decentralizacji systemu edukacji.

Potrzebujemy świadomości manipulacyjnego potencjału polaryzacji, kiedy nasze emocje padają łupem polityków

Założenie, na którym opiera się propozycja rozpoczęcia procesu decentralizacji Polski według propozycji IUS od reformy systemu edukacyjnego, jest dość oczywiste. Mamy w Polsce duży państwowy potencjał edukacyjny, który już jest zarządzany i finansowany lokalnie. Pozostaje zatem postawić kropkę nad i – pozwolić działać samorządom. Uogólnienie tego, czym w XXI wieku powinno być nauczanie na poziomie państwowym – edukacją do adaptacyjności z wykorzystaniem potencjału naszych emocjonalnych i racjonalnych umysłów – nie powinno, z uwagi na swoją ogólność, obudzić takich emocji politycz-

nych na szczeblu centralnym, jakie towarzyszą teraz dyskusjom nad operacyjnymi propozycjami dotyczącymi szczegółowych rozwiązań organizacyjnych czy programowych.

Ja z kolei dodam od siebie, że schematy nauczania zbieżne z przygotowaniem umysłów kolejnych pokoleń do zbiorowego, adaptacyjnego działania, korzystającego w pełni z naszych naturalnych wrażliwości i bogactwa naszego zróżnicowania są już od dawna dostępne w ra-

mach płatnych propozycji edukacji alternatywnej, jak i w niektórych szkołach publicznych, animowane i podtrzymywane przez nauczycieli pasjonatów. Jest to dobra baza, którą łatwo będzie wykorzystywać i rozwijać lokalnie, jeżeli właśnie lokalnie będą ku temu dostępne i uprawnienia i środki finansowe. Taka reforma edukacji będzie bez wątpienia dobrym krokiem mogącym zmniejszyć z czasem ilość paliwa do niewygasających emocji politycznych w naszym kraju.

Fryderyk Wilhelm III nadal krzywdzi małe dzieci. Polska szkoła to mem



RAFAŁ SKOCZEWSKI

Absolwent Uniwersytetu Warszawskiego na kierunku filologia polska. Z zawodu wyuczony redaktor wydawniczy, z wykonywanego początkujący lektor, ale w jednym i drugim zaczynają go doganiać roboty. Mógłby zostać neoluddystą, ale to by nic nie dało. W wolnych chwilach szefuje jednoosobowej redakcji facebookowego fanpejdza Zbliżeniowy, na którym zawsze daje z siebie całe 30%.

Szkoła pruska od czasów Fryderyka Wilhelma I jedynie się rozrasta. Jeśli prace domowe zostałyby zniesione lub znacząco ograniczone, oznaczałoby to, że dożyliśmy historycznego momentu, w którym państwowa szkoła po raz pierwszy dokonała samoograniczenia

Edukacja przez ostatnich 30 lat nie była nigdy tematem prawdziwie priorytetowym, a doniesienia z nią związane zawsze ostatecznie ginęły na tle poważniejszych afer. Jeśli się jednak dobrze wsłuchać, odsiać szum, to można odnaleźć tu pewną rytmikę, naprzemienną awantur w sprawach większych (gimnazja, nowe matury, sześciolatki, znowu gimnazja) oraz nieco mniejszych: powracające kłótnie o zmiany w kanonie lektur (z jakiegoś powodu najgłośniejsze było za Giertycha o usunięciu Gombrowicza), mundurki (też za Giertycha), cowrześniowe telewizyjne przypomnienia o za ciężkich plecakach dla maluchów (materiały na ten temat realizowane są z regularnością dorównującą grudniowym materiałom o zwierzętach w sylwestra i z niemal równie wielkim współczuciem), o drożdżówki (w tym zamieszaniu oprócz minister edukacji udział brało aż dwóch ministrów zdrowia), liczbę godzin katechezy i tęczowe piątki. Dziwię się, że nikt jeszcze nie zaproponował kom-

promisu, żeby zostawić dwie godziny katechezy, ale jedną obowiązkowo tęczową i byłby spokój. Wszystkie te zagadnienia (może oprócz nowych matur) łączy jedna ważna cecha – żadne z nich nie ma realnego wpływu na jakość wykształcenia absolwentów. Skąd więc gorączkowość tych dyskusji?

Sens jest wrogiem

Zastosowanie znajduje tu stary felieton Parkinsona (*Wielkie finanse albo punkt zaniku zainteresowania*), w którym formułuje on Prawo Trywialności. Tłumaczy ono, dlaczego z im większym banałem mamy do czynienia, z tym większą liczbą żywo zainteresowanych komentatorów przyjdzie nam się zmagać. O finansowaniu np. energetyki jądrowej mało kto ma pojęcie, ale kiedy przyjdzie nam dyskutować o tym, jaką kawę kupować na posiedzenia komisji, to okaże się, że wszyscy będą mieli coś do powiedzenia, a ewentualny

spór będzie długi, emocjonalny i wyczerpujący dla uczestników. Podobnie każdy jest w stanie zająć stanowisko w sprawie mundurków lub drożdżówek – to są rzeczy wyobrażalne i namacalne, każdy je rozumie. Jeśli by jednak zadać pytanie fundamentalne, ale niestety abstrakcyjne, czyli np. jakie cele powinien realizować system edukacyjny i jak w związku z nimi powinien być skonstruowany, to zapewne wszyscy uczestnicy zastępczych sporów zaczęliby się po cichu modlić, żeby jednak wrócić do drożdżówek.

**System jest głupi,
niewydajny, niegodny
zaufania i nie można na
niego liczyć, opiera się na
kłamstwie i absurdach**

Zachęcam, żeby spojrzeć głębiej, pod powierzchnię sporów o pietruszkę. Dla mnie zawsze ciekawsze jest to, o co uczestnicy dyskusji się nie kłócą. Prawdziwie fundamentalne kwestie leżą bowiem nie tam, gdzie toczy się walka, ale w sprawach, co do których panuje zgoda. Jeśli spojrzeć na te awantury z dystansu, to okaże się, że mamy pełną zgodę co do tego, że aparat administracyjny i jego zrejonizowane ekspozytury uczące powinny mieć pełną kontrolę nad czasem obywateli od 6 do 18 roku życia, z przerwą na regenerację i sen. Gdyby ta przerwa nie była obiektywną koniecznością, zapewne zajęto by nie 16, ale 22 godziny z doby (24 by się nie dało, bo na dwie godzinki trzeba by jednak wszystkich wygonić z budynku, żeby zerrzeć podłogi). Zgoda panuje również co

do tego, że program ma być zasadniczo ujednoczony, a rodzice nie mają w sprawie jego treści nic do powiedzenia. Spór jest jedynie o to, czy zaganiać batem na katechezę, czy nahajem na tęczowe piątki.

Spory o kwestie trzeciorzędne będą ciągle wybuchały, bo muszą wybuchać. Po 2005 r. klasa polityczna wykorzystując znajomość Prawa Trywialności, doprowadziła do perfekcji postpolityczne rzemiosło i wie doskonale, że generalny konflikt dwóch obozów wymaga ciągłego podsywania błahymi, zastępczymi tematami. Dlatego kolejne walki są jak przeboje na listach największych stacji radiowych – wszystkie takie same, ale cały czas trzeba dostarczać nowych.

Zwolennicy (generalnie rzecz ujmując) zarówno „tradycji”, jak i „postępu” w edukacji kłócą się, w którą stronę należy kręcić łyżeczką, żeby nieposłodzona woda z octem stała się słodką herbatą. Więcej katechezy czy mniej katechezy? Liceum trzyletnie czy czteroletnie? Sześciolatki czy siedmiolatki? Wprowadzać mundurki czy nie wprowadzać? Uczyć HiT-u czy nie uczyć? Daremne to spory i aż dziwi bezrefleksyjna rutynowość w ich prowadzeniu ze strony komentatorów.

Kiedyś to było

Zacznijmy od tego, że samo określenie „tradycyjny” model edukacji jest pewnym uproszczeniem, żeby nie powiedzieć: nadużyciem. Zanim stał się tradycyjny, był ponad 300 lat temu uzurpatorską nowością Fryderyka Wilhelma I, króla Prus, a na ziemiach polskich zaczął działać 100 lat później za sprawą jego następcy Fryderyka Wilhelma III. Na pocieszenie obrońców tego modelu mogę więc dodać, że nawet najbardziej kuriozalne nowości po jakimś czasie stają się tradycją i również

dzisiejszych zmian już niedługo będzie można bronić z pozycji konserwatywnych, zamiast atakować dla zasady. To powszechna reguła, podobnie było w Polsce z karpem, który znany jest obecnie jako odwieczna tradycja na wigilijnym stole. Wprawdzie znalazł się tam nie ze względu na unikatowe walory smakowe, tylko z powodu rozpaczliwych niedoborów powojennej gospodarki, ale nikt już o tym nie pamięta. Sama jego obecność stała się uznanym standardem, więc spór konserwy z moderną zogniskował się w innym miejscu – a więc pomiędzy zwolennikami kupowania martwego karpia a obrońcami pomysłu udostępniania mu wanny na 48 godzin przed Gwiazdką. Podobnie nikt już nawet nie pamięta, skąd właściwie wziął się obecny system edukacji, czemu pierwotnie służył i dlaczego taki jest. Otóż miał on państwu dostarczać posłusznych wyrobników w obszarach, które stanowiły ówczesną arenę rywalizacji mocarstw – a więc w armii, przemyśle i administracji. Realia trochę się pozmieniały od tamtego czasu, ale fundamentalnie niezmiennego systemu broni się z pozycji konserwatywnego psa Pawłowa. Pilnuje on *status quo* na zasadzie wyuczonego odruchu, którego sens jednak nie do końca rozumie. Jego refleksja wydaje się więc niezbyt pogłębiona, a argumenty za „tradycją” są bałamutne, nieprzemyślane lub z gruntu fałszywe.

Jedną z motywacji obrońców jest obrona tego, co *wydaje im się*, że jest dobre dla dzieci. A jeszcze dokładniej: motywacją jest to, *jak nauczono ich myśleć* o tym, co jest dobre dla dzieci. A tak się składa, że jest to zmienne w czasie – musi być, skoro świat, a zwłaszcza rynek pracy, do którego szkoła nas rzekomo przygotowuje, jest zmienny w czasie.

Na ciekawym i dosyć aktualnym studium przypadku opisuje ten błąd w myśleniu kontrowersyjny spekulant Rafał Zaorski. Dlaczego głośne przedsięwzięcie Palikota, oparte m.in. na informacji o zawartości olejów CBD w produktach alkoholowych nie wypaliło? Między innymi dlatego, że inwestorzy wzięli za dobrą monetę skojarzenia z marihuaną z czasów swojej własnej młodości. Dwadzieścia lat temu to był zakazany owoc, który smakuje najlepiej. Więc na pewno świetnie się sprzeda. Ale tymczasem zaszła zmiana, której uczestnicy przedsięwzięcia nie zauważyli – dzisiejsi nastolatki i studenci nie dostają wypieków na twarzy na samą myśl o paleniu zioła, nikogo to już nie podnieca i nie bulwersuje. Efekt skandalu nie zadziałał, co przyczyniło się do klapy.

Przez pięćdziesiąt lat po wojnie utrzymywało się przekonanie, że dyplom magisterski to święty Graal

Tam chodziło o to, jak by tu młodzież „zepsuć”, tutaj niby o to, jak jej pomóc, ale w obu przypadkach nie udaje się ze względu na ten sam błąd – przegapienie zmiany otoczenia. Popełniają go również obrońcy systemu edukacji nazywanego klasycznym. W swoim czasie zostali nauczeni myśleć, że otwiera on automatycznie drzwi do sukcesu i przegapili moment, w którym to przestało być aktualne. Przyjęcie do wiadomości skali i charakteru zmiany przychodzi z wielkim trudem lub wcale. Przez pięćdziesiąt lat po wojnie utrzymywało się powszechne przekonanie,

że dyplom magisterski, który jest zwieńczeniem procesu edukacyjnego, to święty Graal, który dla każdego powinien być spełnieniem marzeń. Takie formatowanie umysłów powojennych pokoleń można znaleźć nawet w kulturze popularnej – no bo jak mógł myśleć inaczej ktoś, kto śledził perypetie Leszka Góreckiego z *Daleko od szosy*, utożsamiał się z nim i szczerze mu kibicował? Bohater najpierw chciał się wyrwać ze wsi, bo lubił pracować przy samochodach, ale to nie mógł być koniec.

**Z im większym banałem
mamy do czynienia, tym
większą liczbą
zainteresowanych
komentatorów**

Pęd, żeby przestać być „robolem”, był silniejszy niż nawet największe przeciwności losu. Ostatecznym celem musiały być studia wyższe, ścieżka awansu i sukcesu była tylko jedna: poprzez sumienną naukę. Swoją drogą ciekawe (widać to też na wielu innych przykładach), że Polska Ludowa robotnika stawiała na pierwszym miejscu, wznosiła mu nawet pomniki, ale tak naprawdę głęboko nim gardziła. Z roli robociarza należało się koniecznie wyrwać, za wszelką cenę.

Trwało to aż do lat 90., w których zawodówki w zasadzie były już utożsamione z marginesem społecznym. Wydawało się, że magistrowie potwierdzili swoją supremację nad resztą ludzkości. Jakież było zdziwienie, kiedy po otwarciu granic w 2004 r. największym hitem rynku pracy nie było już inteligentnie *dynamic duo*,

czyli prawnik i lekarz, tylko spawacz podwodny w Norwegii. Niektórzy do dzisiaj nie mogą w to uwierzyć. Fachowcy zaczęli odpływać na Zachód. A polska edukacja? Nie zareagowała, bo reagowanie nie mieści się w jej statucie, tak jak w żadnej tego typu scentralizowanej instytucji. Nęcenie perspektywą „statusu” i „prestżu” wyższego wykształcenia to nadal jedyne, co ma do zaoferowania. Bo zarządcy systemu zostali nauczeni tak myśleć za młodu i w to wierzą. Dla dzisiejszej młodzieży chcą tego samego, bezalternatywnego dobra.

Silny człowiek w silnym liceum

Piotr Zaremba w tekście dla „Nowej Konfederacji” z 2 stycznia, kiedy kreśli zarys zmian w edukacji ostatnich 30 lat, przytacza m.in. fakt, jakim było „przywrócenie silnego, czteroletniego ogólnokształcącego liceum”. Nie jest to może najistotniejsza kwestia, ale pomoże wytrenować naszą czujność na pustostowie przebrane za argumenty. Przypomina mi to „silnego człowieka” Nikodema Dyzmę, który staje się silny głównie przez określenie go silnym i podchwycenie tego hasła w prasie. Jest to wykorzystanie stanowiącej (prawie magicznej) funkcja języka, rzeczy stają się lub zmieniają poprzez samo nazwanie. Na niektórych to po prostu działa. Podobnie jak np. warta miliard złotych spółka to po prostu spółka, ale warta miliard złotych państwowa spółka to „silna spółka”. Sama z siebie oczywiście nie jest silna, wręcz przeciwnie, jest mniej konkurencyjna, a jeżeli wytrzymuje istnienie podmiotów prywatnych, to dlatego, że w razie kłopotów zawsze może poprosić o pieniądze z drukarki. Czteroletnie liceum nie jest silne. Jest długie. I tyle.

Dalej czytamy o gimnazjach: „W mniejszych miejscowościach niedawno utwo-

rzne gimnazja jawiły się jako realny dorobek lokalnych wspólnot”. A w jaki niby sposób te wspólnoty się gimnazjów „dorobiły”? Były one w takim samym stopniu „dorobkiem” lokalnych społeczności jak wcześniej podstawówki i licea – czyli w żadnym. Oba są realizacją założeń polityki centralnego planowania umysłów w Warszawie. Dorobkiem lokalnej społeczności może być to, co lokalna społeczność sama zrobi po rozpoznaniu własnych, lokalnych potrzeb – a więc domy kultury, koła gospodyń wiejskich, rady parafialne, świetlice czy nawet te nieszczęsne akwaparki.

Co do podręcznika do HiT-u, to obie strony sporu, jeśli rzeczywiście myślą tak, jak deklarują, to przeceniają możliwość bezpośredniego kształtowania poglądów przez szkołę – zarówno ci, którzy chcieli wpływać, jak i ci, którzy widzieli w tej próbie zagrożenie. Akcje w stylu HiT-u i podręcznika Roszkowskiego głównie lekceważono. Tego rodzaju „indoktrynacja” była właściwie wyłącznie obiektem żartów i miała taką moc perswazyjną i wychowawczą jak staruszek pokrzykujący na niewychowaną młodzież. Wszyscy go mijają, nikt go nie słucha, nikt nie traktuje go poważnie. Przypomina to z kolei gerontów polskiej polityki, którzy sądzili, że jak przejmą telewizję i lokalne gazety, to będą kontrolowali ludzkie umysły. Tymczasem gazety są różne, kanał w telewizji można zmienić, a poza tym obecnie i tak decyduje internet. Wpływ oczywiście istnieje, ale na ogół jest wyolbrzymiany.

Dowiadujemy się też o oporze „niezbyt przychylniej prawicy kadry nauczycielskiej”. Jeśli autor, mówiąc o prawicy, ma na myśli Zjednoczoną Prawicę, to nie wiem, czy rzeczywiście jest niedoreprezentowana. Nauczyciele są, jak się wydaje, zbyt dużą grupą, żeby nie znajdowały w niej od-

zwierciedlenia wszystkie inne podziały charakteryzujące ogół Polaków, w tym podział preferencji wyborczych. O ile pamiętam, to nauczyciele nie byli nigdy jakoś na stałe skonfliktowani z prawicą, tylko z każdym, kto naruszał ich interesy, podobnie jak protestujący górnicy, lekarze i pielęgniarki.

**Dlaczego głośne
przedsięwzięcie Palikota,
oparte m.in. na informacji
o zawartości olejów CBD
w produktach alkoholowych
nie wypaliło? Między innymi
dlatego, że inwestorzy wzięli
za dobrą monetę
skojarzenia z marihuaną
z czasów swojej własnej
młodości**

W czasach rządów PiS „kuratorzy mieli pilnować między innymi niewpuszczania do szkół organizacji pozarządowych o progresywnym zabarwieniu. Te pomysły, mające postać tak zwanego «lex Czarnek», były dwukrotnie blokowane wetami prezydenta Andrzeja Dudy. Można teraz oczekiwać wychylenia wahadła w drugą stronę”. To odzwierciedlenie problemu, o którym pisałem już wyżej – Warszawa powinna organizacjom pozarządowym zezwalać na udział w procesie edukacyjnym czy go zakazywać? Bo nie ma żadnych wątpliwości, że decyzja w tej sprawie, jak i w każdej innej, może zapadać wyłącznie

w Warszawie. Co do efektu wahadła, to mam nadzieję, że wystąpi, ale z pełną symetrią – czyli kuratorzy będą ustawowo obowiązani, żeby wysyłać „edukatorów” do szkół, a następnie zawetuje to prezydent Trzaskowski.

Książka profesor i facetka od religii

Zaremba odnosi się także do zapowiedzi redukcji liczby godzin katechezy z dwóch do jednej: „Można dyskutować, czy państwo realizuje tym samym model światopoglądowej neutralności, czy wspierając laicyzacyjne trendy, neutralność porzuca”. Neutralność światopoglądowa jest pojęciem wewnątrznie sprzecznym, oznacza bowiem eliminację jednych treści, a pozostawienie innych. Samo wejście w rolę takiego selekcyjera jest nie do pogodzenia z neutralnością. Zastanawianie się, czy ten konkretny krok nowego rządu sprzyja neutralności, czy ją podważa, jest scholastycznym dociekaniem spoza mojego kręgu zainteresowań. A co do „erozji” przedmiotu – o erozji może mówić tylko ktoś, kto naprawdę bardzo dawno nie był na katechezie. Odcięcie jednej nogi trupowi to nie erozja. To co najwyżej bezczeszczenie zwłok. Może nieładne, ale już niespecjalnie szkodliwe. I musiało się to tak skończyć, bo przedmiot, który jest tylko jednym z wielu, nie może mieć autorytetu większego od pozostałych, na dodatek w sytuacji, kiedy realnie jest traktowany jako mniej ważny od wuefu. A jeśli o którymś przedmiocie można powiedzieć, że jego nauczyciele są z łapanki, to będzie to niestety właśnie katecheza. Mamy tam pełen przekrój, od przeora księdza profesora aż do przysłowiowej facetki od religii przeniesionej do liceum z nauczania początkowego. A jeżeli miałbym na oko ocenić, który przedmiot miał średnio najgorzej

przygotowanego nauczyciela, to byłaby to również katecheta.

Kłopot z zajęciem mądrego stanowiska w tej sprawie to sytuacja tragicznego wyboru, z pozoru bez dobrego rozwiązania. Pryncypialni konserwatyści są być może zdolni do dostrzeżenia, że katecheza degeneruje się właśnie poprzez pozostawienie w absurdalnie dysfunkcyjnej i niewydajnej strukturze, ale czują się niejako przymuszeni do obrony jej miejsca w państwowej szkole. Poparcie jej usunięcia (nawet, jeśli słuszne) oznaczałoby bowiem wsparcie antyklerykałów. I rzeczywiście, jest taka

Historyczne skutki pruskiej tresury bezwzględnej posłuszeństwa w każdej sprawie nie zawsze były dla Berlina powodem do dumy

zasada, że jeśli np. opozycja złoży wniosek o wotum nieufności wobec naszego ministra, to zawsze głosujemy przeciw, nawet jeśli ten minister był na wylocie. Nie po to, żeby wesprzeć ministra, tylko żeby nie stanąć w jednym szeregu z wrogiem. To zrozumiały mechanizm i nawet trudno kogokolwiek winić za takie „taktyczne” postępowanie, choćby było merytorycznie trudne do obronienia. Jednocześnie jeśli lewica lub centrolewica ostatecznie usunęłyby katechezę (w zasadzie siłą) z państwowych szkół, to Kościół w Polsce miałby kolejną cierpiętniczą, męczeńską bliznę, z którą mógłby się przez następne dziesięciolecie obnosić jako ofiara, ograbiona i wypędzona, i nie wyciągnąć żadnych wniosków na przyszłość. Sytuacja ofiary

jest jasna, nie wymaga wnioskowania, tylko ukarania sprawców i odwrócenia skutków. Z kolei pozostawienie katechezy do dalszego swobodnego spadania w przepaść bez dna też musi budzić niepokój. Dlatego jedyna sensowna odpowiedź na ten problem jest taka sama, jak w starym kawale, w którym pada pytanie, ilu psychoterapeutów potrzeba, żeby wkręcić żarówkę. Jednego, ale to żarówka musi tego chcieć. W państwowej szkole katecheza może wyłącznie dalej gnić, ale rezygnacja z tego modelu musiałaby być świadomą i dobrowolną decyzją episkopatu,

Edukacyjna racja stanu jest obrona prawa państwowego Saturna do pożerania własnych dzieci

a w idealnym scenariuszu – wręcz jego inicjatywą. Tylko wtedy owocem zmiany mogłaby być poprawa jakości katechezy, a nie resentyment w oblężonej twierdzy. Bo na ten moment troska o jakość nauczania religii przejawia się głównie poprzez utrzymywanie jej w planie lekcji.

Po 1989 roku Kościół w Polsce dostał m.in. religię w szkole „za zasługi” w walce z komuną – ciągle to słyszę, i to chyba jedna z niewielu interpretacji najnowszej historii, co do której panuje zgoda; przyznaje to lewica, prawica i sam Kościół. Mniej wygodna część prawdy jest taka, że nie dostał w zamian nobilitacji i złotego orderu, jak się wszystkim wydaje, tylko szklane paciorki i zatrute jabłka. Ktoś tu się niestety nabrał na „wzmacniającą” siłę państwa, o której pisałem wyżej. Łyżka miodu nie naprawi beczki dziegciu, tylko

sama się w niej zepsuje. A perły rzucone przed wieprze zostaną zdeptane.

Polski czy Słowacki?

Tematu listy lektur nie chcę przesadnie rozwijać, bo musiałbym powtórzyć to, o czym już wspominałem. Od trzydziestu lat awanturujemy się, czy Warszawa ma zmuszać do Sienkiewicza, czy zmuszać do Gombrowicza. Zwolennicy pierwszego to patrioci, drugiego to otwarte umysły. Tak naprawdę jedni i drudzy bronią centralistycznej wszechwładzy w ustalaniu indeksu książek nakazanych, których i tak nikt nie czyta, a spór jest pozorny. Odmawiam wzięcia udziału w dyskusji o lekturach na poważnie. Mogę w niej wziąć udział jedynie dla sportu, a za klucz doboru lektur przyjąć oburzenie jak największej liczby Polaków. W tym celu należałoby więc posłuchać przytaczanej przez Zarembę Agaty Passent i usunąć „W pustyni i w puszczy” oraz wszystkie inne ramoty Sienkiewicza. Jednocześnie należy wprowadzić Sienkiewicza, ale tylko jedną powieść, mianowicie *Bez dogmatu* (zdziwilibyście się, jaka jest aktualna). Należy również usunąć całego Prusa, ale jednocześnie wprowadzić Prusa, a dokładnie wpisać do kanonu ostatnią jego powieść pt. *Dzieci* (literacko nie najlepszą, ale zdziwilibyście się, jaka jest aktualna). Do tego *Harry Potter* jako zagrażający magią i satanizmem podczas rządów prawicy oraz *Harry Potter* wywołujący oburzenie ze względu na osobę scancelowanej autorki podczas rządów lewicy.

Wszystko badajcie, wszystko zachowujcie

Treść umowy koalicyjnej to rzeczywiście ogólnikowość na poziomie artykułu 5

NATO, ale trudno mieć o to pretensje. Przecież wszystko trzeba i tak potem negocjować na poziomie szczegółów z partnerami, a następnie jeszcze pokonywać opór materii biurokratycznej. Nigdy nie wiadomo, ile ostatecznie uda się wprowadzić. Dlatego koalicjanci nie obiecują, że zniosą prace domowe, ale ograniczą „obowiązki związane z zadawaniem prac domowych”. Zdecydowana zapowiedź zniesienia pada ze strony Rafała Trzaskowskiego, bo w tej sprawie akurat nic od niego nie zależy. O tym właśnie „ograniczeniu” pisze również autor cytowanego przeze mnie tekstu: „Tu dostajemy bardziej umiarkowaną formułkę «ograniczenia».

O ile pamiętam, to nauczyciele nie byli nigdy jakoś na stałe skonfliktowani z prawicą, tylko z każdym, kto naruszał ich interesy, podobnie jak protestujący górnicy, lekarze i pielęgniarki

Do jakich rozmiarów? Czy ktoś to tak naprawdę zbadał? Kto tak wie, ile, co i w których klasach jest zadawane? Czy jacyś eksperci podzucili tę myśl liderom KO i Trzeciej Drogi? Myślę, że politycy rzucając swoje zapowiedzi ograniczyli się do zasłyszanych od znajomych strzępków, wrażeń”. Po pierwsze nie wiem, czy zarzut o chęć ograniczenia na podstawie zebrania strzępków i wrażeń jest uczciwy, skoro widać wyraźnie, że Zaremba nie zrobił nawet tego. A do jakich rozmiarów? Ja

uważam, że najlepiej do zera. Administracyjny kidnaping na czas równoważny pełnemu etatowi człowieka dorosłego to i tak za dużo. Czy ktoś to zbadał? A czy naprawdę absolutnie wszystko trzeba badać? Każda kolejna koalicja *de facto* zatwierdzała prolongatę systemu pruskiego, chociaż nikt nie badał, czy to przynosi dobre skutki. Jego zalety przyjmowaliśmy na wiarę. W liceum ogólnokształcącym wszyscy uczą się budowy materii na poziomie subatomowym, obliczania miejsca zerowego funkcji, struktury błony komórkowej, metod otrzymywania soli oraz przyczyn, przebiegu i skutków powstania styczniewego. Zupełnie, jak gdyby mottem ich życia miał być tytuł filmu *Wszystko, wszędzie, naraz*. Nikt nigdy nie badał, czy to ma sens. Ale do likwidacji pracy domowej nagle potrzebujemy badań. Jeśli w doświadczeniu Zaremby nie mieści się nawał prac domowych, to znaczy, że po prostu ich nie odrabiał – skądinąd słusznie, ja dzisiaj też bym tego nie robił. Ale może rzeczywiście jest tak, że ja jedyny utknąłem w jakiejś bańce. Może rzeczywiście badania wykażą, że prac domowych nie jest za dużo, a w związku z tym ich szkodliwość jest zerowa lub znikoma. Jednak dopóki się nie upewnimy, na wszelki wypadek wprowadziłbym moratorium. W końcu chodzi o dobro dzieci, nie możemy ryzykować.

Jednolitość to wolność. Jednolitość to nadzieja

Dowiadujemy się również, dlaczego system musi być jednolity: „Jest jasne, że aby zagwarantować równość szans edukacyjnych, programy szkolne są zasadniczo zunifikowane (choć z różnymi wyjątkami jak szkoły z programami autorskimi). Kanon musi istnieć ze względu na jednolite

egzamin – na koniec podstawówki i maturalny. Czy jednak unifikacji powinny podlegać także metody pracy nauczyciela z uczniem? Taką metodą jest podział na to, co robi się w szkole i na to, co zadaje się do domu”. Kolejną nienaruszalną świętością jest świecki dogmat o „równości szans” – to jest sprawa, o której się nie dyskutuje, możemy tylko dyskutować, który system najlepiej spełnia ten postulat i dlaczego jest to właśnie system aktualny. A kanon musi istnieć, bo istnieją matury. Uzasadnieniem dla jednej unifikacji jest więc unifikacja wyższego rzędu. To może trzeba zapytać, czy matura musi istnieć? Ale wzruszenie tak wielu fundamentów naraz mogłoby wywołać szok, a ja nie jestem okrutnikiem.

Praca domowa istnieje więc jako element łaskawie dopuszczonego różnicowania po szkole, po odbębnienu ideologicznego obowiązku równania w dół w trakcie zajęć – bo to w praktyce oznacza komunał o „równości szans”. Różnicowanie to może zachodzić na dwa sposoby. Można różnym dzieciom w jednej klasie zadawać różne prace domowe. Na przykład więcej pracy domowej dla zdolniejszych dzieci, bo od zdolniejszych więcej się wymaga, albo na przykład więcej pracy domowej dla mniej zdolnych dzieci, bo one muszą więcej pracować, żeby nadgonić. Życzę powodzenia w tłumaczeniu, że to nie jest za karę. Ja bym nie uwierzył. W praktyce wszystkim uczniom w danej klasie zadaje się to samo. Wyjątkiem od tej reguły były zawsze zadania z gwiazdką dla chętnych masochistów, których i tak nikt nigdy nie robił. Różnice w pracach domowych mogą także występować pomiędzy nauczycielami i szkołami, jednak jeśli program jest i tak jednakowy, to ta różnica jest pozbawiona praktycznego znaczenia. Przypomina mi to trochę zasadę

cuius regio, eius religio z XVI wieku. Po pokoju w Augsburgu w Rzeszy Niemieckiej zapanował „pluralizm” wyznania. Polegało ono na tym, że książę mógł wybrać wyznanie, a jego poddani musieli je przyjąć, a więc z ich perspektywy przyjmowali takie wyznanie, jakie im się akurat wyłosoowało. Czyli był taki pluralizm, żeby robić, co każą. Związana z pracami domowymi różnorodność jest analogicznym, „pańskim” przywilejem dla nauczycieli,

Nauka

wewnątrzsterowności

poprzez

zewnątrzsterowność?

Znamy to. Zjednoczenie

przez podział. Sprawiedliwy

podział przez rabunek.

Wojna to pokój. Wolność to

niewola. Ignorancja to siła

a rozkazem dla uczniów. Jego brak postrzegany jest jako pętanie rąk: „Dopiero co Czarnka i PiS oskarżano o niedopuszczalną centralizację edukacyjnego systemu. Teraz, jeśli traktować tę zapowiedź nie jako efektowny frazes, a zapowiedź realnej zmiany, prowadziłyby ona do dość bezwzględnej kontroli nad aktywnością nauczycieli. Skądinąd obdarzanych, i słusznie, właśnie podnoszonymi płacami. Ale z równoczesnym pętaniem ich rąk, a w każdym razie z sugestią takiego pętania”. Czas w szkole i po szkole jest przedmiotem bezwzględnej kontroli nad aktywnością uczniów. Jeśli uczeń ma do wyboru pójść

z rodzicami na spacer albo zrobić pracę domową, to musi wybrać pracę domową. A rodzice mają go w tym przypilnować. To nikomu nie przeszkadza. Zwiększona kontrola jest niepokojąca dopiero wtedy, kiedy miałyby objąć samych kontrolerów. Absurdalny argument, ale dobrze, że padł, bo dzięki niemu widać wyraźnie, dla kogo tak naprawdę ma być szkoła. Istnieje sama dla siebie jako wyspecjalizowana część administracji państwowej, która realizuje własne cele, a korzystać na całym procesie może ewentualnie jej naturalna klientela, czyli nauczyciele tam zatrudnieni. Uczniowie są tylko surowcem w odlewni ołowianych żołnierzyków, papierem w drukarce dyplomów i niszczarce umysłów. Edukacyjną racją stanu jest obrona prawa państwowego Saturna do pożerania własnych dzieci. Lepiej je zjeść niż zgubić.

A zresztą – jeśli nawet ceną za odciążenie uczniów i wyraźne oddzielenie czasu w szkole od czasu po szkole miałyby być „pętanie rąk” nauczycielom, to uważam, że jako społeczeństwo powinniśmy być gotowi na takie poświęcenie.

12 prac domowych Heraklesa

Prawdziwą gratką w dyskursie jest jednak dopiero przywoływany przez Zarembę wywiad z dr Archacką. Sam tytuł tego wywiadu jest śmiesznie panikarski, widać, na jaką reakcję jest nastawiony: *Najpierw zlikwidują prace domowe, a potem całe szkoły?* Zapewne właśnie tak będzie, a potem już tylko likwidacja Polski (*für Deutschland*). Ekspertka uważa, że „prace domowe uczą dzieci m.in. wewnątrzsterowności, nieocenionej życiowej umiejętności zmuszenia się do zrobienia czegoś, na co nie ma się ochoty. Zapewniam, że bardzo przydatnej w dorosłym życiu”. Nauka wewnątrzsterowności poprzez ze-

wnątrzsterowność? Znamy to. Zjednoczenie przez podział. Sprawiedliwy podział przez rabunek. Wojna to pokój. Wolność to niewola. Ignorancja to siła. A wolność to uświadomiona konieczność. Może w jakimś przebiegunowanym, dialektycznym antyświecie tak to działa, ale w normalnym świecie jest dokładnie odwrotnie.

Nie wierzę, że jestem jedyną osobą w Polsce, która kompletnie nic nie zyskała na odrabianiu w większości nierozwijających prac domowych przez setki zmarnowanych godzin, a wszyscy inni doświadczają do dzisiaj z tego tytułu bezcennych korzyści, o których bredzą „eksperci”

Mechanizm nie jest oparty na zmuszaniu się, tylko na zmuszaniu przez szkołę pod groźbą kary. Kiedy z końcem szkoły zniknie kara, zniknie czynnik warunkujący działanie i mechanizm przestanie działać. Ponownie zadziała dopiero w wojsku lub w więzieniu. To nie uczy odpowiedzialnego podejmowania zadań, tylko postawy dokładnie odwrotnej: że jak nie każą, to nie trzeba. Równie ważna, jeżeli nie ważniejsza w dzisiejszych czasach nadmiaru, jest selekcja tego, co należy robić, a co odrzucić. Tego szkoła na pewno nie nauczy, skoro ma być bezwzględnie robione wszystko, co jest w programie, nieważne, czy to sensowne.

Obowiązki dorosłego, jeśli dostrzeżemy je w ich złożoności, nie są tym, do czego przygotowała nas państwowa szkoła. Pani doktor albo celowo przemilcza kluczową różnicę między jednym a drugim, albo jej nie dostrzega, bo państwowa szkoła na trwałe pozbawiła ją tej zdolności. Jeżeli czytają to ludzie, którzy jeszcze do niej chodzą, chciałbym się do nich zwrócić ze słowem pociechy, niech nadzieja nie gaśnie. Żaden normalny pracodawca nie będzie wymagał od was zabierania pracy do domu. A nawet, jeśli wam się taki trafi, to pracę będziecie mogli zmienić. Nie zawsze od razu i nie zawsze na lepszą, ale ta możliwość nie będzie wykluczona co do zasady. Nie będziecie skazani na filozoficzne „no tak to już jest”. Warunkowanie strachem przed karą do wykonywania w większości bezsensownych, nikomu do niczego niepotrzebnych zadań nie jest adekwatną zapowiedzią wyzwania dorosłego życia. I jedyne, czego uczy, to że dorośli kłamią w obronie struktur, które współtworzą. Co oznacza, że po opuszczeniu szkoły wszyscy kłamią i nikomu nie można ufać. Nie jest to żadna nauka wykonywania obowiązków, tylko znajdowania sposobów na wymiganie się od nich i kombinowania, w ostateczności odbębnienia byle jak, żeby tylko facetka się nie czepiała. Utrwała się przez to pogląd, że nakładane przez państwo obowiązki mają zawsze klauzulę najwyższej bezsensowności. Przekonanie, że jeśli jakieś wymaganie jest państwowe, to na pewno jest głupie i trzeba je będzie jakoś ominąć lub zadbać o pozory jego wykonania.

Wychowawcza moc pracy domowej to wyłącznie życzeniowe myślenie. Realne skutki są takie, że pracy domowej albo się nie robi, jeśli jest jej za dużo, albo przepisuje się ją przed lekcjami, albo pró-

buje się kłamać, że nie wzięło się zeszytu... i cała reszta tego szkolnego repertuaru przebojów, znamy to wszyscy. Tak jak wszyscy wiemy, że odrobione prace domowe nierzadko są po prostu efektem „ślęczenia” dzieci wspólnie z rodzicami. Jeśli nie dają rady zrobić ich samodzielnie, to znaczy, że albo są za trudne, albo jest ich za dużo. Czasem są z tego powodu wręcz odrabiane przez samych rodziców. Innym jeszcze bypassem szkolnych zatorów są korepetycje. Za moich czasów (zawsze chciałem to powiedzieć) były już rozpowszechnione, ale wtedy nie przyszłoby mi nawet do głowy, żeby w ofercie szukać „wspólnego odrabiania lekcji”. Stąd kilka lat później byłem zdziwiony, że to jedna z podstawowych usług w tej branży. Musiała się więc pojawić z czasem. Jedną z moich ulubionych metod analitycznych to *follow the money*, często pozwala dostrzec i zrozumieć rzeczy z pozoru niejasne. Tutaj widzimy, gdzie z czasem popłynęły pieniądze – do korepetytorów, żeby pomagali w odrabianiu lekcji. Nie ma w tym nic złego, próbuję tylko uzmysłowić, że skoro pojawiła się taka potrzeba, to rynek odpowiedział. Czy o to chodziło pruskim kancelistom z Warszawy?

Spróbuję to lepiej zobrazować: dzień wolności podatkowej przypadł w zeszłym roku na 21 czerwca. Czyli rodzice na utrzymanie instytucji państwowych harują już blisko połowę swojego czasu. Z pańszczyzny fiskalnej finansują m.in. państwową edukację. Ta następnie zadaje dzieciom pracę domową, przy odrabianiu której rodzice muszą sięgnąć do drugiej kieszeni, żeby dodatkowo zapłacić korepetytorom za pomoc w wypełnianiu obowiązku opłaconego z pierwszej kieszeni. Ewentualnie płacą własnym czasem przy odrabianiu lekcji z dzieckiem.

Podsumowując: odrabianie prac domowych nie przynosi oczekiwanych zbiawnych skutków po pierwsze dlatego, że mechanizm nie działa tak, jak chcieliby jego twórcy, a po drugie dlatego, że jeśli potrzebna jest pomoc rodziców lub korepetytorów, to znaczy, że zadań jest za dużo, bo nawet zmuszanie się nie pomaga.

Obowiązki dorosłego, jeśli dostrzeżemy je w ich złożoności, nie są tym, do czego przygotowała nas państwowa szkoła. Pani doktor albo celowo przemilcza kluczową różnicę między jednym a drugim, albo jej nie dostrzega, bo państwowa szkoła na trwałe pozbawiła ją tej zdolności

Prohibicję w Stanach Zjednoczonych wprowadzali ludzie myślący w taki sam sposób, co obrońcy tego nonsensu. No bo jeśli zakazemy alkoholu, to ludzie nauczą się powstrzymywać od picia, żyć w trzeźwości i skorzystają na tym. Przecież to oczywiste. Co może pójść nie tak? A w praktyce nauczyli się pędzić i przemycać, a do tego wzrosła korupcja i przestępczość zorganizowana. Państwo to pewien układ wzajemnie oddziałujących na siebie elementów. Oddziaływanie na społeczeństwo ma zawsze określony kierunek i zwrot. Trzeba za każdym razem sto razy

się zastanowić, czy reakcja nie będzie odwrotna od pożądanego, zwrot nie będzie przeciwny, a na miejsce jednego problemu nie pojawią się trzy następne. Właściwe skalibrowanie tego oddziaływania jest zadaniem zbyt poważnym, żeby zostawić je ekspertom, tak samo jak wojny nie zostawia się wojskowym.

Obywatel wasal

W żadnej pracy nie zetknąłem się z choćby częściowo tak bezmyślnym i szkodliwym modelem weryfikacji osiągnięć, opartym na strachu przed karą, żadne ewaluacje i kejpiaje nie mogą się z tym równać. Czemu się jednak dziwić, skoro system edukacji był (i cały czas jest) spójny z interesem Królestwa Prus, w którym zasadą było, że żołnierz bardziej niż wroga ma się bać swojego kaprała?

„Nie można zgodzić się na ideę szkoły, która z założenia ma stać się «instytucją mającą nauczyć krytycznego myślenia», czyli nieustannego dekonstruowania i podważania fundamentów kultury, nauki, zwyczajów, tradycji społeczeństwa, w którym przyszło nam żyć”. Do całej tej „krytycznej” mody sam jestem krytycznie nastawiony, ale nie chcę polemizować w jednym tekście z całym światem. Ktoś powie, że rezygnacja z hierarchii, autorytetu (a więc również posłuszeństwa) to sprzeciw wobec tego, co dla konserwatyzmu jest istotowo ważne. I pewnie będzie miał rację, ale – na Boga – pilnujmy, żeby nie wszystko było tak całkiem bezmyślne! Nie chcę stosować argumentu, co do którego utarła się opinia, że kończy i przegrywa każdą dyskusję – dlatego powiem oględnie, że historyczne skutki pruskiej tresury bezwzględного posłuszeństwa w każdej sprawie nie zawsze były dla Berlina powodem do dumy.

Okazuje się także, że szkoła przygotowuje do życia obywatelskiego: „(...) o jakiej obywatelskości możemy mówić wówczas, gdy dorastający ludzie nie są przygotowani do odpowiedzialnego uczestniczenia w życiu, które – choć to bardzo niepopularne i niemodne – składa się nie tylko z poczucia szczęścia, ale codziennej, rzetelnej i sumiennie wykonywanej pracy?”. Zdania tego rodzaju zdradzają o wypowiadających je więcej, niż oni sami byliby gotowi świadomie ujawnić. Poczucie szczęścia pochodzące właśnie z sumiennej pracy widocznie nie jest autorce znane, skoro ich rozłączność jest całkowita i oczywista. Pogląd o szczęściu pochodzącym z dobrze przeżytego dnia, w tym również przepelnionego ciężką pracą, jest co najmniej tak stary jak antyczni stoicy. Seneka i Marek Aureliusz wstawali każdego dnia, żeby ciężką pracą zasłużyć na miano mężów stanu, bo wierzyli, że warto, a nie dlatego, że nauczyli się zmuszać do nieprzyjemnych obowiązków po odrobieniu dostatecznie wielu zadań z chemii. A jeśli pogańscy mędrcy są z jakiegoś powodu podejrzani, to znajdziemy tę mądrość również w nauczaniu Kościoła. Ale według opisanego wyżej dualistycznego, tragicznego fałszu we wszechświecie istnieją tylko dwie skrajności: z jednej strony zabawa i bezhołowie nieodpowiedzialnych, frywolnych hipisów, a z drugiej sumienna męka i szlachetne, odpowiedzialne cierpiętnictwo. Gdyby wybór rzeczywiście wyglądał w ten sposób, to też z dwojga złego zdecydowałbym się raczej na chaotyczną swobodę niż wiecznie cierpienie, ale to na szczęście fałszywa alternatywa. Gdyby problem był tu właściwie rozpoznany, to stanem docelowym byłaby satysfakcja z wartościowego wysiłku. Ale to niemożliwe, bo jak można mieć satysfakcję z wykonywania bezsensownego obowiązku, pracy w większości

nikomu do niczego niepotrzebnej i bezwartościowej? Właśnie taką pracę, jak my wszyscy, wykonywali w szkole i po szkole obecni obrońcy tej martyrologii. Tak uwarunkowani nie są w stanie spojrzeć, ani nawet myśleć w inny sposób. Bezproduktywny, frustrujący wysiłek umysłowy jako słuszna kara za niewinność to jedyne, co znają. Nic innego nie ma. A jeśli nic innego nie ma, to trzeba się z tym pogodzić. Czasami słyszę ten argument w nieco innej formie, coś w stylu „nie ma co narzekać na szkołę, bo potem w życiu jest jeszcze trudniej” albo „w życiu jest ciężko, więc to dobrze, że w szkole jest ciężko, to się przyzwyczaisz”. To mantra patologicznych rodziców tłukących swoje dzieci, wyrażona wprost przez postać graną przez Jana Frycza w *Pręgach*: „Lepiej, żebyś czasem dostał w skórę od ojca, niż by cię życie miało pobić”. System jest głupi, niewydajny, niegodny zaufania i nie można na niego liczyć, opiera się na kłamstwie i absurdach. Żeby jakoś sobie z nim poradzić, można albo zinternalizować jego szaleństwo i stać się wkuwającym wariatem, albo przyjąć jego metody, czyli kłamać, oszukiwać i kombinować, załatwiać zwolnienia z wufu, potem chodzić na oszukane L4 i plagiować prace dyplomowe, a wszystkich innych traktować jak wrogów, których łamie się tak długo, aż będą posłuszni. System edukacji jest nastawiony na zmarnowanie jak największej ilości czasu, rodzice mają pilnować, czy dobrze mu idzie, a wszystko działa według tego schematu od tak dawna, że wszyscy myślą, że tak po prostu musi być. I jeszcze dorabiają znieczulające racjonalizacje jak bita żona, chwaląca męża pijaka za zaradność, bez najmniejszego mrugnienia podbitym okiem. To praktycznie pod każdym względem przypomina folwark, w którym pan każe, a sługa musi. Nie można

wychować kolejnych pokoleń obywateli, a więc osób wolnych, a zarazem odpowiedzialnych, samodzielnych, a zarazem skłonnych do pomocy metodami pochodzącymi z folwarku, czyli opartej na ubezpieczeniu instytucji odwrotnej od społeczeństwa obywatelskiego.

Spółeczeństwo klasowe

Nie mogłoby być mowy o intelektualnej debacie z prawdziwego zdarzenia, gdyby ktoś nie wywołał kontekstu klasowego: „Narracja mówiąca o «odszkolnieniu» jest budowana na podstawie wielokrotnie powtarzanych frazesów o pruskim systemie edukacji. Totalna krytyka szkoły prowadzi do konstatacji: każda opieka, troska i nauczanie są nierozzerwalnie związane w przemocą psychiczną, symboliczną i systemową. Twórcy i uczestnicy takiego monologu nie są w stanie wskazać żadnego realnego programu stanowiącego propozycję naprawy szkolnictwa publicznego. Słyszymy o edukacji domowej, placówkach prowadzonych przez fundacje, szkołach niepublicznych, alternatywnych systemach o mglistym programie nauczania zgodnym z ideami przyświecającymi danemu twórcy czy organizacji. Wszystkie te propozycje – niestety – prowadzą moje myślenie w kierunku konstatacji, że chcemy budować społeczeństwo klasowe, ba – klasistowskie”. Po pierwsze model pruski to nie żaden frazes, tylko pewien realnie istniejący system o bardzo konkretnych założeniach, którego historia jest łatwa do prześledzenia. Tak samo wzięte z fabryki dzwonki to nie frazes, tylko realnie wiszący na ścianie przedmiot wspomagający tresurę. Po drugie mamy tu wyższy poziom toksycznej manipulacji, bo zmuszanie kogoś, żeby pod groźbą kary marnował czas to nie żadna troska. To psychopatia. Po

trzecie autorka wypowiedzi narzeka na „monolog”, a sama monologuje. Po czwarte ocenia, że uczestnicy „monologu” nie podają realnych programów naprawy, a następnie wymienia kilka zupełnie sensownych pomysłów. One nie są nierealne, tylko nie trafiają w gust pani doktor. Po piąte – zaraz, chwileczkę, właściwie jakiej „naprawy”? Wszystkie przeżytki są tu konsekwentnie bronione, czyli działają. A skoro działają, to właściwie co tu jest do naprawy? Czyżby jednak coś było? Po szóste to nie „totalna krytyka” szkoły prowadzi do opisanej konstatacji, tylko sposób jej działania. To znowu jest odwrócenie logiki, albo kota ogonem. To tak jakby ktoś na osiedlu wszystkich bił, a potem miał pretensje, że publiczne krytykowanie jego agresji sprawia, że ludzie się go boją. Gdyby nie to, to na pewno wszyscy by mu ufali. Krytyka systemu jest skutkiem sposobu jego działania, a nie przyczyną jakiejś konstatacji na jego temat. Niezdolność obrońców tego modelu do dostrzeżenia jakiegokolwiek problemu po jego stronie jest kompletna i wydaje się, że trwała.

Jeszcze co do programów zmian – nie trzeba spędzić przed komputerem więcej niż kilkanaście minut, żeby znaleźć co najmniej kilka programów reformy szkolnictwa. Jest cały czas leżący na stole bon oświatowy, jest Obywatelski Pakt dla Edukacji, jest model singapurski, Dziesięć Radykalnych Sugestii dla Reformy Szkoły, jest też projekt Nowej Konfederacji, a o decentralizacji pisze prof. Antoni Dudek w pracy zbiorowej Umówmy się na Polskę. Uważam, że decentralizacja powinna być naturalnym skutkiem przejścia na model w pełni rynkowy, w którym to rodzice decydują poprzez wybór z różnorodnej oferty. W jednych szkołach byłyby prace domowe, w innych nie. Ale jeżeli (choćby ze względu na uwarunkowania konstytu-

cyjne) decentralizację można osiągnąć nie jako efekt uboczny, ale wyłącznie jako cel sam w sobie, to lepszy rydz niż nic.

Nie wierzę, że jestem jedyną osobą w Polsce, która kompletnie nic nie zyskała na odrabianiu w większości nierozwijających prac domowych przez setki zmarnowanych godzin, a wszyscy inni doświadczają do dzisiaj z tego tytułu bezcennych korzyści, o których bredzą „eksperci”. Inni krytycy też przeszli przez ten system, nie krytykują go „z zewnątrz”. Oni też mają problem z dostrzeżeniem w swoim życiu tych korzyści? Zapewne z tego samego powodu, dla którego robotnicy nie potrafili docenić komunizmu, najlepszego dla nich ustroju – otóż nie uzyskali świadomości klasowej. Dzisiaj to nie partyjniacy, ale eksperci pomagają nam w uzyskaniu świadomości klasowej. Polega ona na zrozumieniu, że miejsce człowieka jest w klasie.

Kapitaliści kulturowi ostoją reakcji i zacofania

Dalej dowiadujemy się, jakie jeszcze społeczne cele ma szkoła: „Dzieci z wysokim kapitałem kulturowym wyniesionym z domu (a to ich rodzice najczęściej skarżą się na szkodliwość szkoły), mają mieć – zgodnie z tą wizją – dostęp do alternatywnych systemów nauczania. A dzieci z domów o niskim kapitale kulturowym, dla których edukacja zawsze była i jest szansą na lepsze życie, mogą zostać jej pozbawione, ponieważ publiczne szkoły powinny zniknąć”. No właśnie, dlaczego akurat ci rodzice się skarżą? Bo to ich dzieci są potem ofiarą równania w dół. Nie dziwię się protestującym, którzy przez lata stają na głowie, żeby dostarczyć dzieciom wszystkiego, co najlepsze tylko po to, żeby następnie ich potencjał został zmarnowany. „Czy tylko mi się wydaje,

że ta dystopia jest w swojej wymowie kompletnie antydemokratyczna, antyegalitarna i kompletnie nieemancypacyjna?” – owszem, ale to tylko niektóre z jej zalet. Pozostałe to podniesienie jakości usług edukacyjnych poprzez wymuszenie konkurencji, z tegoż powodu także lepsza zdolność dostosowawcza do błyskawicznie zmieniającego się rynku pracy i pędzącej cywilizacji, postawienie rodziców na właściwym miejscu (czyli decydentów) w procesie edukacyjnym oraz możliwość realnego rozwinięcia potencjału każdego ucznia zamiast przycinania i opiłowywania każdego do wymiarów jednakowej dla wszystkich formatki z ministerstwa. „Co bowiem będziemy mieli na wyjściu? Edukację zarezerwowaną dla jakiejś «świadomej i oświeconej» części społeczeństwa?”. Nie możemy do tego dopuścić, bo dla świadomej i oświeconej części społeczeństwa zarezerwowana powinna być wyłącznie sfera mówienia innym, jak mają kształcić swoje dzieci. W tym aspekcie istnienie „świadomej i oświeconej” części społeczeństwa, ekspertów, którzy „wiedzą lepiej”, jest już jak najbardziej właściwe i pożądane, nie ma w tym nic paternalistycznego i „klasistowskiego”, można się rozejść. Uważny czytelnik dostrzeże, że „ekspertom” nie chodzi o zlikwidowanie podziału, tylko o to, żeby jego linia miała określony przebieg.

Taką refleksją Zaremba dzieli się na koniec: „Ale totalne uderzenie w tradycyjną szkołę widzę jako wstęp do gorzej funkcjonującego społeczeństwa. Z jednej strony – mniej odpornego na rozmaite pokusy czy patologie. Z drugiej – bardziej nierównego, rozwarstwowanego”. Na szczęście przed patologiami ciągle jeszcze chroni nas mnożąca patologie patologiczna instytucja o patologicznym rodowodzie. Tak naprawdę koszarowane tam osoby skutecznie chroni jedynie przed zimmem.

Achtundachtzig Professoren

Nadziei upatruję w tym, że państwowa szkoła produkuje nie tylko określony typ pracowników, ale również swoich własnych obrońców. Szczęście w nieszczęściu jest więc takie, że potrafią oni bronić swojej zepsutej *alma mater* jedynie tak dobrze, jak zostali przez nią samą nauczeni, a więc na podstawie myślenia życzeniowego, wybiórczego researchu, błędnego i powierzchownego rozpoznania rzeczywistości, powtarzania skompromitowanych mitów, takiej sobie erystyki, wewnętrznie sprzecznych argumentów, fałszywych alternatyw, mylenia skutku z przyczyną i z pominięciem elementarnej logiki, a wszystko w sosie syndromu sztokholmskiego i w generalnym oderwaniu od realiów. Gdyby państwowa szkoła uczyła unikać tych wszystkich błędów, podpisałaby na siebie wyrok. Obnażyłaby się w swojej głupocie przed własnymi wychowankami.

Będę grał w grę

Szkoła pruska od czasów Fryderyka Wilhelma I jedynie się rozrasta. Wyglądała do tej pory jak mem z filmu „Czarnobyl”, czyli „więcej materiału, dzieci wytrzymają”. Jeśli prace domowe zostałyby zniesione lub znacząco ograniczone, oznaczałoby to, że być może dożyliśmy historycznego momentu, w którym państwowa szkoła po raz pierwszy dokonała samoograniczenia, wyjdzie z naszych domów, do których weszła z butami. Byłby to pierwszy krok do tyłu od 300 lat. Nie wiem, czy to tylko jeden z elementów „totalnego uderzenia w tradycyjną szkołę”, jak twierdzą niektórzy. Może tak, ale równie dobrze może zajść tylko ta jedna zmiana, a cała reszta pozostanie z nami nienaruszona na kolejne lata. Może być również tak, że

całkowita likwidacja prac domowych usunie z listy obowiązków te, które akurat są zgodne z predyspozycjami dziecka i pomogłyby mu się rozwinąć. Niezależnie od przyszłego scenariusza, warto do tej zmiany podejść świadomie, nie przegapić jej. Ubezwołasnowolnieni, folwarczni konserwatyści odruchowo gardlują wniebogłosy, że wynikną z tego jakieś niesłychane straty. Zwracam się więc do wszystkich, którzy chcą słuchać: to nie koniec świata. To szansa. Rozegrajcie ją na swoją korzyść. Ile czasu to zwalnia każdego dnia? Dwie godziny, trzy? Więcej czasu na zajęcia dodatkowe, rozwijanie umiejętności posiadanych przez dzieci i dostrzeżonych przez rodziców – a nie wszystkiego, jak leci. Nie każdy może sobie pozwolić na zajęcia dodatkowe? Nie wszystko jest płatne. Idźcie z dziećmi na rower, do lasu, na spacer po okolicznych zabytkach, zagrajcie w planszówkę. Cokolwiek zrobicie, najprawdopodobniej i tak będzie miało więcej sensu niż większość praca domowa. Nie macie czasu, bo pracujecie? Niech i one popracują, jeśli są dość duże. Na jedną ósmą etatu, w weekendy, kiedykolwiek. To nie zawsze może być łatwe do zorganizowania, ale niech pójdą do jakiegokolwiek pracy w jakimkolwiek wymiarze, odśnieżanie podjazdów, grabienie liści, prace sezonowe, prace w ogrodzie, rozwożenie jedzenia itd. Niech nabiorą jak najszybciej praktycznego przekonania, że wysiłek związany z pracą służy zarabianiu własnych pieniędzy, a nie nauce cierpienia. Jest takie stare żydowskie przysłowie, że lepsze deko handlu niż kilo pracy. Uważam, że można je rozbudować: to kilo pracy jest i tak lepsze niż kwintal wkuwania. Obrońcy pracy domowej urządzają z obecnie rządzącą koalicją przeciąganie liny „zakazać-nakazać” i grają z nią w warcaby. A ja wam mówię: grajcie w szachy.

Nie będzie czasu na „haratanie w gałę”. Początek roku 2024 może zdecydować o losach Polski



PIOTR MICHAŁ KOSMĘDA

Radca prawny, absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego, doktor nauk prawnych (Uniwersytet Śląski w Katowicach), zarządzający funduszami nieruchomości, CCIM (Certified Commercial Investment Member), przedsiębiorca. Onegdaj reprezentant Polski U-16 w piłce nożnej. Dziś uprawia triathlon i biegi górskie.

Start nowego rządu nad Wisłą nakłada się na front ukraiński, wybory na Tajwanie i sytuację w Strefie Gazy. Czekają nas trudny test. Stawiając na Niemcy, Tusk może skonfliktować się z USA

Okres między świętami Bożego Narodzenia a świętem Trzech Króli bywa zwykle czasem na podsumowania mijającego roku i planowanie roku kolejnego. Życie publiczne toczy się w wolniejszym tempie, a rodzinne spotkania przedkładane są nad zawodowe aktywności. Styczeń rozpędza się zwykle wolno. Wydaje się, że początek roku 2024 może przynieść duże zdynamizowanie i tak już niespokojnych procesów na świecie, co może mieć przełożenie na Warszawę. Na trzy, z polskiego punktu widzenia, kluczowe procesy, tj. front ukraiński, wybory na Tajwanie i sytuację w Strefie Gazy, nakłada się bowiem start nowego rządu nad Wisłą. Pierwsze sto dni będzie testem tej formacji, a w szczególności jej lidera. O ile sytuacja nad Dnieprem i w Izraelu może w pierwszym półroczu mieć charakter agresywnego, ale niewybuchowego konfliktu, to zapalnikiem, moim zdaniem, będzie teraz azjatycka wyspa.

Tajwan

Wybory prezydenckie na Tajwanie odbędą się 13 stycznia. Zmierzą się w nich m.in. William Lai (Demokratyczna Partia Postępowa – DPP), Hou Yu-ih (burmistrzem Tajpej, Kuomintang) oraz Ko Wen-je (Tajwańska Partia Ludowa – TPP). O ile Lai uznawany jest za kandydata obozu pro-niepodległościowego, tak Yu-ih kładzie nacisk na poprawne stosunki z Pekinem. Ko pozycjonuje się jako centrowy, pragmatyczny polityk, który stara się trzymać równy dystans do USA i Chin, choć w ostatnich wypowiedziach z 30 grudnia zajął stanowisko prochińskie, mówiąc, że „ludzie po obu stronach Cieśniny Tajwańskiej są tej samej rasy i mają tę samą historię, [ale] na tym etapie mamy inny system polityczny i sposób życia”.

Wybór umiarkowanego nurtu może oznaczać niższe napięcia w regionie, niższe koszty utrzymania państwa. Zwycięstwo prowadzącego w sondażach kandydata

DPP byłyby trudne do zaakceptowania przez Pekin, nawet jeśli nowy prezydent nie ogłosiłby formalnie niepodległości (twierdzi on, że to nie jest potrzebne, bo Tajwan już jest niepodległy), gdyż oznaczałoby bliższe więzi Tajpej i Waszyngtonu. Zwycięstwo Kuomintangu może za to doprowadzić do pomniejszych napięć z Waszyngtonem. Ostatnie sondaże (średnia z 2 tygodni) dają prowadzenie kandydatowi DPP (35%), przed Hou Yu-ihem (28%) i Ko Wen-je (24%). Niezależnie od tego, który z kandydatów zwycięży, niepokojny czas potrwa kilka miesięcy, gdyż początek sprawowania władzy przez prezydenta-elekta przewidziany jest na maj 2024. Niewątpliwie władze chińskie będą przez ten czas intensywnie pracowały nad tym, by pierwsze przemówienie nowego przywódcy wyspy zawierało treści požądane przez Pekin. Turbulencje azjatyckie rozlewać się mogą zatem do późnej wiosny po całym świecie. Warto bowiem pamiętać, że na wyspie produkuje się ok. 60% wszystkich półprzewodników na świecie (a ok. 90% najbardziej zaawansowanych technologicznie). Kontrola Pekinu nad tym przemysłem oznaczałaby kontrolę nad światową gospodarką, do czego USA nie może dopuścić, jeśli chce utrzymać światowy prymat.

Izrael

W pierwszym kwartale 2024 można się spodziewać eskalacji napięcia na Bliskim Wschodzie. Jak twierdzi Wojciech Szewko w rozmowie z Piotrem Zychowiczem, w Warszawie toczą się między CIA, Mosadem i przedstawicielem Kataru rozmowy dotyczące pokoju w Strefie Gazy. Problem w tym, że nie ma dobrego rozwiązania problemu palestyńskiego. Wspólne państwo oznaczałoby albo mniej więcej równą

populację Żydów i Palestyńczyków, co musiałoby przełożyć się na podział 50/50 w Knesecie. Jest to rozwiązanie trudne do wyobrażenia. Alternatywą jest dominacja Żydów oraz pozbawienie Palestyńczyków praw publicznych, co, jak mówi W. Szewko, oznaczałoby „zamknięcie ich w rezerwach, jak Indian” i jest też niewyobrażalne. Stąd tak duża presja Waszyngtonu na rozwiązanie dwupaństwowe, na co nie zgadza się premier Netanjahu.

Szewko: w Warszawie toczą się między CIA, Mosadem i przedstawicielem Kataru rozmowy dotyczące pokoju w Strefie Gazy

Zychowicz twierdzi, że USA dały Izraelowi czas do końca roku 2023 na uporządkowanie sytuacji, przymykając oczy na humanitarny kryzys i zabicie ponad 20 000 osób, głosując w ONZ przeciwko rezolucji o zawieszeniu broni. Rozwiązanie dwupaństwowe musiałoby oznaczać udział sił pokojowych państw z regionu: Turcji, Arabii Saudyjskiej, albo przeniesienie ok. 500 tys. Żydów (czyli ok. 8% populacji) z terenów okupowanych do Izraela. Jedno i drugie jest trudne do przeprowadzenia.

Jak zwraca uwagę w „Foreign Affairs” Daniel Byman, pojawia się więc pytanie o cel operacji w Gazie. Jeśli jest nią dewastacja, to zniszczenie Gazy, bezrobocie sięgające 85%, morze ruin oznacza sukces, ale skutkować będzie rosnącą nienawiścią Palestyńczyków. Byman podkreśla, że nie byłoby to możliwe bez materialnego i moralnego wsparcia Waszyngtonu (3 mld

dol. regularnie co rok plus pakiet ekstra 14 mld dol. obecnie). Jednak to nie wsparcie finansowe i wojskowe najbardziej obciąża USA, lecz utrata wiarygodności zarówno na arenie międzynarodowej, jak i spadek notowań aktualnego prezydenta, któremu obdarowany premier Izraela nakazuje się nie wtrącać, gdy IDF bombarduje ludność cywilną. Problem dostrzegają też inni autorzy „Foreign Affairs” – Aaron D. Miller i Daniel C. Kurtzer, którzy piszą, że Biden jest w trudnej sytuacji i musi coś zrobić. Sugerują większą presję USA na Izrael co do zakazu przymusowych relokacji, co do akceptacji rządów palestyńskich, wznowienia negocjacji i dążenia do powstania dwóch państw na spornym terenie. Moim zdaniem, niezależnie od tego, jakie działania zostaną podjęte, problem jest nierozwiązywalny w długiej perspektywie, a w świetle demografii, geografii i rosnących problemów USA spełnić się może profetyczna wypowiedź H. Kissingera, który w 2012 roku powiedział: „Za 10 lat nie będzie już Izraela”. Mimo intensywnych działań na rzecz utrzymania państwa żydowskiego prace koncepcyjne, jak poradzić sobie z Bliskim Wschodem po likwidacji Izraela trwają już od dawna. Wydaje się, że Stany Zjednoczone są na przegranej pozycji, a nawet gdyby prezydent Biden ustabilizował sytuację w Strefie Gazy, niewykluczony jest konflikt na północy Izraela (pytanie, czy inspirowany wtedy przez Pekin i Moskwę?), co jeszcze bardziej obciążą zasoby Waszyngtonu.

Ukraina

Sytuacja na froncie ukraińskim zależy od wsparcia Zachodu. Kraje Europy Zachodniej, po części ze względu na niewygasłą chęć ułożenia na nowo relacji z Rosją (jak twierdzi Nortbert Röttgen w „Foreign

Affairs”, prawdziwym, cynicznym powodem niedostarczenia pocisków Taurus jest ich skuteczność i strach Scholza przed eskalacją), po części z braku możliwości – tej pomocy udzielają w ilości dalece niewystarczającej, a także mniejszej niż obiecana. Produkcja i dostawy amunicji 155 mm są w roku 2023 na poziomie 30% planowanych przez UE, a zatem kilkukrotnie niższym niż rosyjskie. Nawet w przypadku realizacji przez USA i UE planów zwiększania produkcji tego środka rażenia, kluczowego dla przebiegu walk,

Jak twierdzi Nortbert Roettgen w „Foreign Affairs”, prawdziwym, cynicznym powodem niedostarczenia pocisków Taurus jest ich skuteczność i strach Scholza przed eskalacją

rosyjskie moce przerobowe w roku 2024 i 2025 będą większe od „kolektywnego Zachodu”. Jeśli nałożyć na to sprawność, z jaką Moskwa przestrasza się na gospodarkę wojenną, i problemy budżetowe i legislacyjne, z którymi borykają się Amerykanie i Europejczycy, to można przyjąć, że w latach 2024-2025 Rosja będzie dysponowała 1,5-dwukrotną przewagą liczby wyprodukowanych pocisków. Już tylko to porównanie, bez szczegółowego porównania innych możliwości pokazuje, że w ciągu 2-3 lat Rosja nie zostanie militarnie, ani gospodarczo złamana, a utrzymanie Ukrainy w wojnie staje się wyjątkowo trudnym zadaniem.

Oczywiście istnieje znaczne prawdopodobieństwo tego, że w perspektywie dekady taka polityka Moskwy spowoduje jej wasalizację wobec Chin i faktyczną, a może i prawną utratę kontroli nad Syberią, co dałoby Pekinowi – poza dostępem do surowców – wyjście na obszar arktyczny. Zważywszy jesienne wybory w USA, ekipa Bidena musi doprowadzić do satysfakcjonujących rozwiązań nad Dnieprem, albo poważnie ryzykuje utratą wiarygodności, załamaniem się polityki tego gabinetu i wygraną Donalda Trumpa. Jest to oczywiście scenariusz preferowany przez Putina. Jak pisze w tekście dla „Rosja w globalnej polityce” S. Poletajew, „jeśli Ukraina nie rozpadnie się w nadchodzących miesiącach, obecny względny spokój może utrzymać się do wyborów w USA, [po czym] nowej administracji zaproponowana zostanie (jakakolwiek) umowa pokojowa” na warunkach Kremla. W przypadku odmowy Waszyngtonu, na przełomie roku 2024 i 2025 dojdzie do eskalacji i nowego marszu na Kijów. Moim zdaniem ekipa Bidena, świadoma takiej rosyjskiej rozgrywki, może odwlekać decyzję, starając się budować zaplecze na wypadek utraty kontroli Zachodu nad Ukrainą w roku 2025. Sugestie wspomnianego wyżej Röttgena, zauważmy – ważnego polityka niemieckiego, takie jak: zwiększenie dostaw broni na Ukrainę, odejście od kunktatorskiej polityki nie eskalacji, realne zduszenie rosyjskiej gospodarki sankcjami – pozostaną wołaniem na puszczy.

Polska

W opisanej sytuacji polski rząd, a zwłaszcza jego premier poddany zostanie kilku istotnym testom już w pierwszych miesiącach urzędowania. Nie będzie czasu na

„haratanie w gałę”. Po wyborach na Tajwanie dojść może do dalszego pogłębienia różnic w postrzeganiu Pekinu przez Berlin i Waszyngton, gdyż uzależnieni od handlu z Chinami Niemcy, mający poważne problemy gospodarcze, nie mogą sobie pozwolić na zbyt twardy kurs wobec „partnera i systemowego rywala”, jak określa się Państwo Środka w strategii niemieckiej. O ile poprzedni rząd polski był dość przewidywalny w kopiowaniu zachowań patrona zza Wielkiej Wody, tak Donald Tusk i jego drużyna przejawiają tendencje znacznie bardziej kontynentalne. Wydaje się, że polski premier może zostać postawiony w trudnej sytuacji wyboru, w której stawiając na kurs proniemiecki, może skonfliktować się z USA.

Biden, zmuszony, podobnie jak w Izraelu do aktywności, jednocześnie bojąc się operacji na otwartym sercu Europy – Berlinie, elektrody przyłoży raczej na mającym tendencje do mimikry rządzie w Warszawie

Połowa lutego, po wykrystalizowaniu się stanowisk wobec nowej sytuacji w Cieśninie Tajwańskiej, może być zatem gorąca również nad Wisłą, gdyż na kryzys azjatycki nałożą się opisane wyżej napięcia na Bliskim Wschodzie oraz kłopoty Ukrainy na froncie. Chińczycy, których odcisków palców nie widać wprost ani 24.02.2022, ani 07.10.2023, mogą za pomocą kija

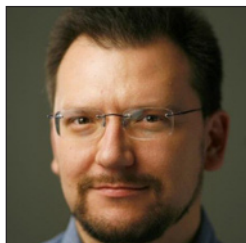
i marchewki gospodarczych relacji manipulować Berlinem, by uwikłać USA w kolejny konflikt, tym razem w natowskiej rodzinie. Amerykanie, zmuszeni do zarządzania symultanicznie kolejnymi kryzysami, mogą przereagować, widząc, że tracą inicjatywę nad Dnieprem, a jednocześnie uwikłani w relacje z Tel Awiwem tracą wizerunkowo wobec kryzysu humanitarnego w Strefie Gazy. Wizja kolejnych kłopotów i utraty wpływów, tym razem w Europie Środkowej, może spowodować reakcję ostrą, mającą na celu ustalenie Warszawy i Berlina w szeregu. Jak pisze cytowany wyżej N. Röttgen, „aby aktywować potencjał UE jako gracza geopolitycznego i zbudować trwałą koalicję wspierającą Ukrainę, Niemcy muszą sprostać swojej roli lidera w bloku, pełnić rolę budowniczego mostu między mieszkańcami Europy Wschodniej, [a] Europejczykami z Zachodu, którzy czują się stosunkowo bezpiecznie z dala od linii frontu ukraińskiego”. Jeśli niemiecki kanclerz nadal będzie uprawiał politykę siedzenia okrakiem na płocie i nie deklarował jasnego poparcia Waszyngtonu, to Biden, który „mówiąc Macronem” już raz użył elektrowstrząsów, by obudzić ze śmierci mózgowej NATO, może tym razem użyć ich ponownie. Zmuszony, podobnie jak

w Izraelu do aktywności, jednocześnie bojąc się operacji na otwartym sercu Europy – Berlinie, elektrody przyłoży raczej na mającym tendencje do mimikry rządzie w Warszawie. Akcja wywołuje reakcję, a od poziomu oporu Warszawy i Berlina zależeć będzie, jak mocny wstrząs zaaplikuje lekarz.

Wydaje się zatem, że polski rząd powinien być ponad wigilijno-noworoczną biesiadę przedłożyć intensywnie kreślenie scenariuszy kryzysowych w różnych wariantach. Czasu jest mało, zwłaszcza, że w przypadku zawirowań w Polsce można się spodziewać ponownego uruchomienia procesów destabilizacyjnych na granicy polsko-białoruskiej, gdyż Rosjanie widząc kłopoty polskiego rządu mogą chcieć wykorzystać sytuację, odwracając jednocześnie uwagę od frontu na Ukrainie.

Pierwsza połowa roku 2024 może być czasem, gdy zaobserwujemy pierwsze tektoniczne pęknięcia przed trzęsieniem ziemi, które moim zdaniem nastąpi na przełomie lat 2025-2026, a zatem po wyborach w USA i prawdopodobnym zwrocie w polityce Waszyngtonu. Kilka nadchodzących miesięcy jest zatem czasem ważnym, gdyż może być papierkiem lakmusowym czy też symptomami większego kryzysu, który czeka nas w perspektywie kilkuletniej.

„I teraz, tato, my tatę wykończymy”. Demokraci czytają Izaaka Babla



WOJCIECH STANISŁAWSKI

Współpracownik „Nowej Konfederacji”. Dr historii, o XX-wiecznych Bałkanach, Polsce i emigracji rosyjskiej pisuje od „Aspen Review” po „Teologię Polityczną”. Lubi sielanki.

Wracające wahadło, które zmiata Czwartosów i Deszkiewiczów, ma być dowodem na zachowywanie energii mechanicznej. Ten opis zjawisk polityki i kultury przy pomocy terminologii z zakresu statyki jest głęboko niepokojący

Sporo w tych dniach rozmów, na żywo i w mediach społecznościowych, o kolejnych decyzjach ministra kultury. W niczym nie odmawiając charyzmy Bartłomiejowi Sienkiewiczowi, taki obrót spraw trzeba uznać za dość zaskakujący. Zwykle, szczególnie w sytuacji wojny toczącej się tuż za naszą granicą, w gabinetowej precedencji tuż po premierze powinien plasować się szef resortu obrony, względnie spraw wewnętrznych – i to on powinien podejmować najpoważniejsze decyzje. Wobec sporów o sądy i trybunały można by również spodziewać się głośnych posunięć szefa resortu sprawiedliwości. Najwyraźniej jednak rząd Donalda Tuska postanowił rozpocząć od rozgrywki o, jak to się dawniej mawiało, „nadbudowę”, w związku z czym trudno aż nadażyć za kolejnymi decyzjami, podejmowanymi przez MKiDN. Zamknięcie rozgłośni regionalnych Polskiego Radia czy zwolnienia w TVP? Dymisjonowanie rad instytutów badawczych czy dyrektora Zachęty? Zmiana artysty, mającego reprezentować kraj na weneckim Biennale czy blokowanie dostępu do ar-

chiwum TVP? Dla każdego coś zaskakującego.

Porzucając na chwilę ton zdystansowanej ironii: mamy do czynienia z eskalacją działań. Podjęcie inicjatywy w sprawie mediów (niezależnie od tego, że zarówno metody działania, jak narzędzia i uzasadnienia prawne oceniam źle) ma swój polityczny sens: jak pokazał 15 października, kontrola nad telewizją publiczną nie zapewnia wygranej w wyborach, ale prawdopodobnie nowej ekipie rządzącej trudno było znieść tak zniechęcającą przez siebie narrację. Czemu jednak w trzecim tygodniu rządów minister kultury ręcznie zmienia obsadę wiosennego Biennale w Wenecji – wydarzenia ważnego dla kilku tysięcy osób, pewnie nie całkiem pozbawionego znaczenia dla wizerunku Polski, ale w skali wyzwań stojących przed krajem (i resortem kultury) całkowicie trzeciorzędne? Nie potrafię nie dostrzec w tych działaniach demonstracji: demonstracji siły politycznej. „Oto, co możemy”. Oczywiście, jest to innego rodzaju „demonstracja siły” niż to, co zwykle rozumie się

pod tym pojęciem, czyli wyprowadzenie na ulice miasta policji lub wojska. Jest to demonstracja znacznie bardziej subtelna, wolna od tandetnych efektów – ale kto wie, czy nie bardziej przejmująca i dobitna.

Protesty, wyrzekania lub smutek, deklarowane przez sporą część komentatorów, są w tej sytuacji dość przewidywalne. Bardziej zaskakujący bywa ton, przyjmowany przez ich polemistów, zarówno w rozmowach prywatnych, co w publicystyce.

„Co w tym dziwnego?” – brzmią te głosy, gdyby sprowadzić je do wspólnego mianownika. – „O co wam w ogóle chodzi? O co macie pretensje? Skala spustoszeń, jakich dopuścił się PiS w mediach publicznych, i w ogóle w kulturze, jest tak gigantyczna, że nie ma o czym mówić. Sami sobie nagrabili, to, co ich spotyka było przewidywalne i jest zrozumiałe. Widziały gały, co brały. Dostają to, co sami oferowali. Wraca zła karma, wraca wahadło”.

Wahadło. Najelegantsza z maszyn prostych, przedmiot urzeczeń fizyków od czasów Galileusza. W podręcznikach mówi się o „bryle sztywnej zawieszonyj na stałej osi poziomej w jednorodnym polu grawitacyjnym”, ale każdy puszcza to zdanie mimo uszu, myśląc raczej o mosiężnym talerzyku, kołyszącym się tajemniczo za szkłem w domu u dziadków czy pradziadków, w drewnianej skrzyni, z której co kwadrans lub godzinę dobywał się przejmujący, niski dźwięk. „Zegar bije”, objaśniała babcia.

Jeśli by trzymać się fizyki – muszę sformułować tę dygresję – opisując sytuację w polu kultury z użyciem przenośni należałoby się odwoływać nie tyle do wahadła (które, umieszczone w jednorodnym polu grawitacyjnym, nieuchronnie zmniejsza kąt wychylenia, aż spocznie), co do zmyślnego urządzenia, znanego na dawnej

Litwie i Rusi: do belki, zawieszonyj na sznurze na gałęzi drzewa w ten sposób, że zasłaniała barć dzikich pszczoł. Ilekroć do barci usiłował się dobrać niedźwiedź, odsuwał belkę łapą na bok: ta, odchylona, po chwili wracała, waląc misia w bok lub w głowę. Wściekłe zwierzę waliło w nią łapą odpowiednio mocniej: ta sytuacja powtarzała się *da capo al fine*, tj. do chwili upadku ogłuszonego lub zranionego belką niedźwiedzia na ziemię. To, co widzimy w tych dniach, przypomina kołyszącą się coraz gwałtowniej belkę; stanowi ona jednak szczególnie przypadek wahadła, zatem koniec dygresji.

**Ilekroć do barci usiłował się
dobrać niedźwiedź, odsuwał
belkę łapą na bok: ta,
odchylona, po chwili
wracała, waląc misia w bok
lub w głowę. Wściekłe
zwierzę waliło w nią łapą
odpowiednio mocniej**

Skala „pisowskich spustoszeń w mediach i w kulturze” to kwestia, która zasługiwałaby na bezstronną ocenę, gdyby ktokolwiek w dzisiejszej Polsce potrafiłby się na taką bezstronność zdobyć. Nawet publikacja tak *opinionated*, jak wydany pod koniec listopada staraniem redaktorek „Dialogu” z przyległościami „Raport Puzyny” ukazuje, że trudno sytuację w miesięcznikach, teatrach, muzeach i na antenach w latach 2015-2023 opisać jednym mocno sformułowanym zdaniem; inne były porządki w Instytucie Literatury,

a inne w miesięczniku „Teatr”. Autorzy mniej *opinionated* zażądałoby zapewne portretu polskiej kultury poczynawszy od roku 1989, pytając zarówno o tych, którzy skorzystali na przemianach, jak tych, co na nich tracili, przypominając sytuację bojkotu lub ostracyzmu, podejmowanego przez osoby niechętne PiS wobec najbardziej apolitycznych redakcji, mediów czy programów po roku 2015, rozważając mechanizmy promocji i wykluczania, obecne w życiu galeryjnym i wydawniczym na długo przed epoką PiS.

Zostawmy to jednak, dla uproszczenia wywodu pominiemy te zastrzeżenia – tak, jak we wzorach na funkcjonowanie idealnego wahadła pomija się opór i turbulencje powietrza lub tarcie osi poziomej. Tak, założmy, że za dwóch kadencji PiS doszło do „bezprecedensowych spustoszeń w mediach i w kulturze”. I wróćmy do metafory wahadła.

Posługujący się nią postrzegają rzeczywistość polityczną na wzór rzeczywistości fizycznej: to znaczy uważają wracające obecnie „w drugą stronę” wahadło za coś wynikającego z naturalnego porządku rzeczy, niemal za potwierdzenie tego porządku. Kapanie wody z kranu jest dowodem na istnienie grawitacji, wracające wahadło, które zmiata Czwartosów i Deszkiewiczów, jest dowodem na zachowywanie energii mechanicznej: zjawisko to opisywane jest w mechanice teoretycznej za pomocą tzw. szeregów Taylora.

Ta elastyczność metafory, ten opis zjawisk polityki i kultury przy pomocy terminologii z zakresu statyki jest jednak czymś głęboko niepokojącym. Jeśli bowiem istnienie fenomenu wahadła uznamy za rzecz naturalną, jeśli po heglowsku uświadomimy sobie oczywistość, ba, konieczność tego rodzaju rozwiązań – może się okazać, że rezygnujemy z języka i apa-

ratu pojęciowego politologii w sposób trwały. Jeśli sprawę rzeczywiście załatwiają nam maszyny proste – wahadło, ewentualnie dźwignia (łom), klin lub śruba – zbyteczne jest budowanie, a tym bardziej doskonalenie w kierunku sprawiedliwości jakiegokolwiek ładu politycznego czy prawnego. Decyduje stan natury, prosty rachunek sił. Kto silniejszy, odchyła wahadło w swoją stronę, tyle.

**Trudno sytuację
w miesięcznikach, teatrach,
muzeach i na antenach
w latach 2015-2023 opisać
jednym mocno
sformułowanym zdaniem;
inne były porządki
w Instytucie Literatury,
a inne w miesięczniku
„Teatr”**

Podkreślam: nie chodzi mi o konkretne decyzje, lecz o samą bezrefleksyjną zgodę na funkcjonowanie „zasady wahadła”, którą dziś wyraża (domyślnie, a czasem wprost) zaskakująco wiele osób. Głosów, które przestrzegałyby przed konsekwencjami uczynienia z wahadła narzędzia budowania ładu publicznego, słychać było zaledwie kilka. Dołączam do nich nie tyle własnymi słowami, co cytatem z pisarza, który jak mało kto opisał nieprawdopodobne okrucieństwo wojny domowej w Rosji lat 1917-1921: z Izaaka Babla i opowiadania „List”, które weszło w skład

pierwszego wydania „Armii Konnej” (w przekładzie Jerzego Pomianowskiego). „...wtedy Sieńka chlusnął tacie Timofiejowi Rodionyczowi wody na brodę i z brody pociekła farba.

I Sieńka spytał Timofieja Rodionycza: – Dobrze wam, tato, w moich rękach?

– Nie – powiedział tato – źle mi.

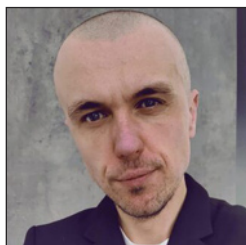
Wtedy Sieńka spytał: – A Fiedi, kiedyście go rznąli, dobrze było w waszych rękach?

– Nie – powiedział tato – źle było Fiedi. Wtedy Sieńka spytał: – A myślał tato, że i wam tak źle będzie?

– Nie – powiedział tato – nie myślałem, że mnie tak źle będzie.

Wtedy Sieńka obrócił się do ludzi i powiedział: – A ja tak myślę, że jeżeli waszym w ręce wpadnę, to nie będzie dla mnie litości. I teraz, tato, my tatę wykończymy”.

Rosja atakuje Kijów i Charków. Sędziowie uchylają ustawę Netanjahu | Niezbędnik Zagraniczny NK, 30.12.2023-05.01.2024



DR TOMASZ GAJEWSKI

Współpracownik „Nowej Konfederacji”, politolog, doktor nauk humanistycznych. Wicedyrektor Instytutu Stosunków Międzynarodowych i Polityk Publicznych Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach; analityk w Fundacji Po.Int. Specjalizuje się w studiach nad wpływem nowoczesnych technologii oraz zmian klimatu na system międzynarodowy i globalne środowisko bezpieczeństwa

Czy konflikt w Strefie Gazy się rozprzestrzeni? Czy X Elona Muska zbankrutuje? Dlaczego Argentyna nie przystępuje do BRICS?

Śmierć lidera Hamasu w Libanie.

Zastępca przywódcy organizacji, Saleh al-Aruri zginął w izraelskim ataku w dzielnicy Dahija w Bejrucie – podały media libańskie i palestyńskie. Położona na południu stolicy Libanu dzielnica jest bastionem szyickiego Hezbollahu.

Al-Aruri był zastępcą szefa biura politycznego i współzałożycielem wojskowego skrzydła Hamasu, Brygad Izz ad-Dina al-Kassama. Izraelski wywiad uważa, że pomógł on zaplanować wiele ataków terrorystycznych. Odbył kilka wyroków w izraelskich więzieniach i został zwolniony w marcu 2010 roku w ramach wymiany więźniów na kaprala Gilada Szalita, porwanego przez Hamas cztery lata wcześniej. Z Bejrutu, Al-Aruri koordynował działania Hamasu na Zachodnim Brzegu Jordanu. Ścisłe współpracował z Iranem i libańskim Hezbollah. Wraz z nim w ataku zginęło dwóch wysokich rangą członków skrzydła zbrojnego Hamasu.

Śmierć al-Aruriego zwiększa ryzyko rozprzestrzenienia się konfliktu w Strefie

Gazy. Napięcie na izraelsko-libańskim utrzymuje się na wysokim poziomie od początku izraelskiej operacji w enklawie, a wymiany ognia artyleryjskiego i raketowego są coraz bardziej intensywne. Przywódca Hezbollahu, Hassan Nasrallah stwierdził, że organizacja „nie będzie milczeć” w obliczu ataku.

Zapytany o wydarzenia w Bejrucie i ewentualny udział armii izraelskiej, jej rzecznik – kadm. Daniel Hagari – powiedział, że wojsko „skupia się na likwidacji Hamasu”. Doradca premiera Benjamina Netanjahu, Mark Regev stwierdził natomiast, że Izrael „nie bierze odpowiedzialności za ten atak, ale ktokolwiek to zrobił, musi być jasne, że nie był to atak na państwo libańskie”. „Ktokolwiek to zrobił, dokonał chirurgicznego uderzenia przeciwko przywódcom Hamasu” – podkreślił Regev.

Zamach w Iranie. W czasie uroczystości upamiętniających śmierć gen. Ghassema Solejmaniego na Cmentarzu Męczenników

w Kermanie doszło do dwóch eksplozji, w wyniku których zginęło sto osób. Do ataku przyznało się Państwo Islamskie. Był to najkrwawszy zamach terrorystyczny w Iranie od rewolucji islamskiej w 1979 roku.

Generał Solejmani był dowódcą elitarniej formacji Ghods, wchodzącej w skład Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej. Był koordynatorem operacji specjalnych realizowanych przez tę jednostkę w całym regionie. Zginął na lotnisku w Bagdadzie w ataku amerykańskiego drona w 2020 roku. Był to odwet za ataki na bazy wojskowe Stanów Zjednoczonych w Iraku. Zabicie Solejmaniego doprowadziło do znacznego wzrostu napięcia na linii Waszyngton-Teheran i obaw o wybuch wojny w regionie.

Sytuacja w Strefie Gazy. Izrael wycofał czołgi z niektórych dzielnic miasta Gaza, ogłaszając plany zmiany taktyki i ograniczenia liczby operujących w enklawie żołnierzy. Działania zbrojne w różnych jej częściach trwają jednak niemal cały czas. Najcięższe walki toczą się na południu enklawy. Według rządu Stanów Zjednoczonych decyzja ta wydaje się wskazywać początek operacji o mniejszej intensywności. Amerykańska Marynarka Wojenna ogłosiła tymczasem, że lotniskowiec USS Gerald R. Ford wraca do swojego portu macierzystego w Norfolk. Grupa bojowa lotniskowca działała we wschodniej części Morza Śródziemnego od rozpoczęcia konfliktu.

Izraelski rząd twierdzi, że zmniejszenie liczebności sił umożliwi niektórym rezerwistom powrót do normalnego funkcjonowania i wsparcie zakłóconej przez wojnę gospodarki. Ma także uwolnić dodatkowe jednostki na wypadek eskalacji konfliktu ze wspieranym przez Iran libańskim Hez-

ollahem. Działania zbrojne – według strony izraelskiej – mają jeszcze potrwać „wiele miesięcy”.

Izraelski rząd zasygnalizował możliwość przejścia kontroli nad granicą między Strefą Gazy a Egiptem. Oznaczałoby to *de facto* przywrócenie kontroli nad enklawą, z której Izrael zrezygnował w 2005 roku. Rodzi to nowe pytania dotyczące jej przyszłości i perspektyw państwa palestyńskiego. Waszyngton wielokrotnie powtarzał, że Izrael powinien pozwolić władzom Autonomii Palestyńskiej na kontrolowanie Gazy po zakończeniu konfliktu.

Izraelski rząd zasygnalizował możliwość przejścia kontroli nad granicą między Strefą Gazy a Egiptem. Oznaczałoby to de facto przywrócenie kontroli nad enklawą, z której Izrael zrezygnował w 2005 roku

Administracja prezydenta Joe Bidena ostro skrytykowała także ostatnie wypowiedzi skrajnie prawicowych izraelskich ministrów, Bezalela Smotricha i Itamara Ben-Gvira, którzy opowiadają się z „przesiedleniem ludności palestyńskiej ze Strefy Gazy”.

Sąd Najwyższy Izraela przeciw reformie premiera. Sędziowie uchylili w poniedziałek budzącą kontrowersje ustawę o reformie sądownictwa, przyjętą przez rząd premiera Benjamina Netanjahu.

Nowe regulacje odbierały część uprawnień Sądu Najwyższego (SN) w relacjach z władzą wykonawczą. Dwunastu z 15 członków SN orzekło najpierw, że procedowanie sprawy mieści się we właściwości sądu. Ośmiu było za unieważnieniem kontrowersyjnego prawa, które – jak stwierdza orzeczenie – „wywołuje poważną i bezprecedensową szkodę dla podstawowych cech Izraela jako państwa demokratycznego”.

Sędziowie uchylili w poniedziałek budzącą kontrowersje ustawę o reformie sądownictwa, przyjętą przez rząd premiera Benjamina Netanjahu

Ustawa była częścią szerszej reformy sądownictwa forsowanej przez Likud premiera Netanjahu oraz koalicję partii religijnych i nacjonalistycznych. Spowodowała ona rozłam w izraelskim społeczeństwie i zaniepokojenie zachodnich sojuszników kraju. W czasie procesu przyjmowania reform przez Kneset, na ulicach izraelskich miast przez wiele miesięcy odbywały się wielotysięczne protesty przeciwników polityki Netanjahu. Niektórzy izraelscy urzędnicy przyznali, że wewnętrzne podziały spowodowane reformą sądownictwa – które objęły także wojsko i służby specjalne – mogły mieć wpływ na decyzję Hamasu o przeprowadzeniu ataku.

Orzeczenie sądu może wystawić na próbę spójność gabinetu wojennego, sfor-

mowanego, by zarządzać operacją przeciwko Hamasowi. W jego skład wchodzi twardogłowi zwolennicy reformy, tacy jak minister finansów Bezalel Smotrich oraz jej krytycy – minister obrony, Jo’aw Galant i Beni Ganc z opozycyjnego bloku Jedność Narodowa. Partia Likud stwierdziła, że decyzja Sądu Najwyższego jest niefortunna i sprzeczna z „wolą jedności narodu, zwłaszcza w czasie wojny”. Smotrich odrzucił natomiast rozstrzygnięcie SN, określając je jako „skrajne i powodujące podziały”. Decyzję SN pochwalił Yair Lapid, lider opozycji i były premier.

Napięcie na Morzu Czerwonym. Duński Maersk i niemiecki Hapag-Lloyd oświadczyli we wtorek, że po kolejnym ataku na kontenerowiec będą w posyłać swoje statki handlowe trasą omijającą Morze Czerwone i Kanał Sueski. Wcześniej Maersk sygnalizował, że stopniowo zacznie wykorzystywać szlak przez Morze Czerwone. Zakłócenie na tym ważnym szlaku żegludowym grozi wzrostem kosztów dostaw towarów, budząc obawy o kondycję globalnej gospodarki.

W niedzielę Maersk wstrzymał wszystkie rejsy po niespokojnym akwenie po ataku na statek Maersk Hangzhou. Jemeńscy Huti próbowali dokonać jego abordażu, ale zostali powstrzymani przez śmigłowce amerykańskiej Marynarki Wojennej. W akcji zabito dziesięciu napastników. Na Morzu Czerwonym operuje międzynarodowy zespół sił morskich. Liderem misji są Stany Zjednoczone, które próbują zabezpieczyć szlaki żegludowe przed atakami Huti. Na akwen wpłynął także irański niszczyciel Alborz i okręt pomocniczy Buszer. Według oficjalnych komunikatów Teheranu, „irańskie okręty wojenne działają na wodach międzynarodowych od 2009 roku, by zabezpieczyć

szlaki żeglugowe, zwalczać piractwo i wykonywać inne zadania”.

Ukraina: sytuacja na froncie. Rosja uderzyła na Kijów i Charków w nowej fali ciężkich ataków powietrznych. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Ukrainy podało, że w uderzeniach raketowych i dronowych zginęło co najmniej pięć osób, a rany odniosło 135. Rosja nasiliła ataki w okresie noworocznym. Ich nasilenie jest też związane z ukraińskimi atakami na przygraniczne rosyjskie miasto, Biełgorod. Prezydent Władimir Putin ostrzegł, że ukraiński nalot, w którym – według Moskwy – zginęło 25 cywilów, „nie pozostanie bezkarny”.

Prezydent Wołodymyr Zełenski powiedział, że w ciągu ostatnich trzech dni, rosyjskie wojsko użyło w atakach prawie 300 rakiet i ponad 200 dronów. Jego zdaniem ostatnie działania miały na celu spowodowanie maksymalnych zniszczeń w infrastrukturze cywilnej. Ukraińskie systemy obrony powietrznej zdołały zestrzelić wszystkie 10 rakiet Kindżał wystrzelonych podczas ostatniego ataku, a także 59 z 70 rakiet manewrujących – oświadczył szef ukraińskiego Sztabu Generalnego, gen. Wałerij Załużny.

Strona rosyjska odnotowała znaczący sukces w ataku cybernetycznym na koncern telekomunikacyjny Kyivstar. Według Służby Bezpieczeństwa Ukrainy (SBU), rosyjscy hakerzy działali w systemach firmy co najmniej od maja 2023 roku. Illia Vitiuk, szef wydziału cyberbezpieczeństwa SBU stwierdził, że atak spowodował „katastrofalne” zniszczenia. Jego celem było zadanie psychologicznego ciosu i zebranie informacji wywiadowczych. Dzięki włamaniu, Rosjanie doprowadzili na początku grudnia do kilkudniowej przerwy w dostępie do usług telekomunikacyjnych dla

około 24 milionów ludzi. Częściowo sparaliżowali działanie bankomatów i zakłócili działanie syren alarmowych. To najpoważniejszy od inwazji rosyjski cyberatak i poważny sygnał dla Zachodu.

Ukraińskie wojsko przeprowadziło tymczasem atak na rosyjski punkt dowodzenia nieopodal Sewastopola na Krymie. W innej operacji, ukraińskie siły powietrzne uderzyły na rosyjską instalację wojskową na okupowanym półwyspie.

G7 pod przewodnictwem Włoch. Wspieranie rozwoju Afryki i eliminowanie zagrożeń generowanych przez sztuczną inteligencję – to priorytety Rzymu na roczne przewodnictwo w grupie siedmiu najbardziej uprzemysłowionych państw świata. W czasie ich ogłoszenia, premier Georgia Meloni stwierdziła, że Włochy utrzymają wsparcie wojskowe dla Ukrainy i przestrzegła, że dalsza eskalacja konfliktu na Bliskim Wschodzie może mieć „niewyobrażalne konsekwencje”.

Przez cały rok, Rzym będzie gospodarzem spotkań ministerialnych, w tym szczytu przywódców G7 w czerwcu. Meloni chce jednak zorganizować specjalną sesję poświęconą sztucznej inteligencji jeszcze przed czerwcowym szczytem.

Kosowo świętuje zniesienie wiz. Setki obywateli Kosowa przybyły w poniedziałek na lotnisko w stołecznej Prisztinie, by udać się do krajów Unii Europejskiej po zniesieniu wiz do strefy Schengen. Na lotnisku witał ich premier, Albin Kurti. „Czekaliśmy zbyt długo, to była niesprawiedliwość, ale w końcu nam się udało” – powiedział szef kosowskiego rządu.

Kosowo było jedynym krajem w regionie Bałkanów Zachodnich, którego obywatele nadal potrzebowali wiz, by podróżować do krajów UE.

Strefa Schengen umożliwia ponad 400 milionom ludzi podróżowanie bez konieczności przechodzenia kontroli granicznych. Surowe wymagania państw członkowskich UE i spory wewnętrzne opóźniły proces włączenia Kosowa do tego systemu o wiele lat. W 2018 roku UE stwierdziła, że wszystkie wymogi zostały spełnione, ale Francja i Holandia wstrzymały się z wyrażeniem zgody w obawie przed nową falą migracji.

Kosowo ogłosiło niepodległość, odłączając się od Serbii w 2008 roku, ale nadal stara się o przyjęcie w poczet państw członkowskich ONZ z powodu sprzeciwu Serbii, Rosji i Chin. Jego państwowość uznaje 110 krajów. Kosowo nadal pozostaje jednym z najbiedniejszych krajów w Europie. Wielu jego mieszkańców postrzega zniesienie wiz jako szansę na zdobycie pracy na terenie UE. Rząd zwrócił się do obywateli, by nie nadużywali przepisów strefy Schengen.

Tajpej odpowiada Pekinowi. „O stosunkach Tajwanu z Chinami musi decydować wola narodu, a pokój musi opierać się na godności” – powiedziała tajwańska prezydent, Tsai Ing-wen po tym, jak przywódca Chin Xi Jinping stwierdził, że „ponowne zjednoczenie” z wyspą jest nieuniknione. Chiny zwiększają presję militarną, by wzmocnić swoje roszczenia do demokratycznie rządzonej wyspy, gdzie 13 stycznia odbywają się wybory prezydenckie i parlamentarne. „Pekin powinien uszanować wynik wyborów na Tajwanie, a obowiązkiem obu stron jest utrzymanie pokoju i stabilności w Cieśninie – podkreśliła prezydent Tsai.

Tsai uznała za priorytet wzmocnienie i modernizację tajwańskiej obrony, w tym realizację własnego programu okrętów

podwodnych. „W każdym domu są zamki, ale nie po to, by prowokować sąsiadów, ale po to, by zapewnić sobie większe bezpieczeństwo. To samo dotyczy drzwi do kraju” – powiedziała tajwańska prezydent. Tsai ustąpi ze stanowiska w maju, po zaprzysiężeniu kolejnego prezydenta. Faworytem jest kandydat rządzącej Demokratycznej Partii Postępu (DPP) i obecny wiceprezydent, Lai Ching-te.

Rząd w Tajpej wielokrotnie ostrzegwał, że Chiny próbują ingerować w wybory poprzez operacje informacyjne oraz wywieranie presji wojskowej i handlowej. Tajwańskie władze poinformowały we czwartek, że po wyborach opublikują raport dotyczący chińskich prób ingerencji.

Agresywna retoryka Pjongjangu.

Przywódca Korei Północnej Kim Dzong Un stwierdził, że pokojowe zjednoczenie z Południem jest niemożliwe. Północnokoreański lider stwierdził również, że jego wojsko powinno „całkowicie unicestwić” Stany Zjednoczone i Koreę Południową, jeśli zostanie sprowokowane. Południowokoreańska Narodowa Służba Wywiadowcza poinformowała tymczasem, że Kim wybrał swoją 10-letnią córkę, Ju Ae na swoją następczynię.

W ostatnich miesiącach Korea Północna nasiliła swoją wojenną retorykę w odpowiedzi na zwiększenie intensywności amerykańsko-południowokoreańskich ćwiczeń wojskowych. Eksperti twierdzą, że w tym roku na ich zmilitaryzowanej granicy między obiema Koreami może w tym roku dojść do „ograniczonych starć”. Analitycy prognozują również, że Kim będzie w dalszym ciągu eskalował retorykę i przeprowadzał kolejne testy raketowe. Kim prawdopodobnie wierzy, że może wykorzystać zwiększone napięcie

do uzyskania ustępstw, jeśli były prezydent Donald Trump wygra listopadowe wybory prezydenckie w Stanach Zjednoczonych.

W swoim poniedziałkowym przemówieniu noworocznym, prezydent Korei Południowej Yoon Suk-yeol powiedział, że w odpowiedzi na północnokoreańskie zagrożenie nuklearne wzmocni swoje wojsko w zakresie uderzenia wyprzedzającego, obrony przeciwrakietowej i zdolności do prowadzenia operacji „odwetowych”.

Porozumienie Etiopii i Somalilandu.

Etiopia podpisała wstępną umowę z separatystycznym regionem Somalii, Somalilandem. Dzięki niej, Addis Abeba będzie mogła prowadzić wymianę handlową przez w Berberze nad Morzem Czerwonym – poinformowało biuro etiopskiego premiera, Abiya Ahmeda. Położony w Rogu Afryki, pozbawiony dostępu do morza kraj polega na sąsiednim Dżibuti, z pośrednictwem którego może prowadzić handel morski. Ustalenia torują Etiopii drogę do prowadzenia komercyjnych operacji morskich w regionie, zapewniając jej dostęp do bazy wojskowej nad Morzu Czerwonym – powiedział doradca ds. bezpieczeństwa narodowego premiera Etiopii, Redwan Hussien. Urzędnik dodał, że Somaliland otrzyma także udziały w państwowych liniach lotniczych Ethiopian Airlines. Szczegóły tego elementu umowy nie są jednak znane

Prezydent Somalilandu, Muse Bihi Abdi powiedział, że w ramach porozumienia Etiopia będzie także pierwszym krajem, który we „właściwym czasie” uzna Somaliland za niepodległe państwo.

Somaliland nie zyskał szerokiego uznania międzynarodowego po ogłoszeniu secesji w 1991 roku. W zeszłym tygodniu, somalijska państwowa agencja prasowa SONNA podała, że w następstwie wysiłków

mediacyjnych prowadzonych przez Dżibuti, Somalia i Somaliland zgodziły się wznowić rozmowy mające na celu rozwiązanie sporów.

Argentyna nie wchodzi do BRICS.

Decyzja władz w Buenos Aires to element fundamentalnej zmiany w polityce zagranicznej i gospodarczej, dokonanej przez nowego prezydenta, Javiera Milei. W liście skierowanym do przywódców Brazylii, Rosji, Indii, Chin (które założyły blok w 2009 roku) oraz Republiki Południowej Afryki (dołączyła w roku 2011) Milei stwierdził, że nie jest to „odpowiedni” moment, by Argentyna przyłączyła się do układu jako pełnoprawny członek. Zaproponował jednak „zintensyfikowanie relacji dwustronnych” oraz zwiększenie „przepływów handlowych i inwestycyjnych”. Milei wyraził także gotowość do bezpośrednich rozmów z każdym z przywódców bloku.

Argentyna znalazła się wśród sześciu krajów zaproszonych do BRICS w sierpniu 2023 roku. Poprzednik Milei, centrolewicowy prezydent Alberto Fernandez uznał przyłączenie się do bloku za szansę na dotarcie do nowych rynków. W polityce zagranicznej, prezydent Milei opowiedział się jedna za sojuszami z „wolnymi narodami Zachodu”, zwłaszcza Stanami Zjednoczonymi i Izraelem. W czasie kampanii prezydenckiej, Milei krytykował także kraje rządzone przez „komunizm” i zapowiadał, że nie będzie z nimi utrzymywał relacji.

Argentyna miała dołączyć do BRICS pierwszego dnia Nowego Roku razem Arabią Saudyjską, Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi, Iranem, Egiptem i Etiopią. Rozszerzenie – choć w mniejszym składzie – ostatecznie doszło do skutku i blok liczy 10 członków. BRICS stanowią

obecnie około 40 proc. światowej populacji i ponad jedną czwartą światowego PKB.

Brazylijskie miasto szczepi przeciwko dendze. Położone w stanie Mato Grosso do Sul miasto Dourados jako pierwsze w kraju rozpoczęło masowe szczepienia przeciwko dendze. Inicjatywa ma na celu zaszczepienie około 150 tys. mieszkańców w wieku od 4 do 59 lat przy użyciu niedawno zatwierdzonej szczepionki QDENGGA. Jej producentem jest japońska firma Takeda. W środę rozpoczęła się dystrybucja pierwszej partii 90 tys. dawek preparatu. Schemat szczepień wymaga podania drugiej dawki w ciągu trzech miesięcy.

Do końca pierwszego tygodnia grudnia ubiegłego roku odnotowano 1,6 mln przypadków dengi. Oznacza to wzrost o prawie 16 proc. porównaniu z tym samym okresem poprzedniego roku

Wektorem zakażenia dengą jest komar *Aedes aegypti*. Choroba może przebiegać łagodnie. Objawy obejmują osłabienie mięśni, senność, brak łaknienia, wymioty i biegunkę. Jej ostra forma może jednak prowadzić do śmierci. Według danych brazylijskiego ministerstwa zdrowia, do końca pierwszego tygodnia grudnia ubiegłego roku odnotowano 1,6 mln przypadków dengi. Oznacza to wzrost o prawie 16 proc. porównaniu z tym samym okresem po-

przedniego roku. Liczba zgonów wzrosła o 5,4 proc. osiągając poziom 1053.

Szczepionka nie będzie od razu stosowana na dużą skalę ze względu na ograniczoną dostępność. Wysilek medyków skupi się na wybranych grupach i regionach. Brazylia spodziewa się otrzymać kolejne pięć milionów dawek preparatu w okresie od lutego do listopada.

2024 rok w prognozach dziennika „Financial Times”. Zespół „kryształowej kuli” gazety przygotował zestaw prognoz na najbliższe 12 miesięcy. Według analityków „FT”, wybory w Stanach Zjednoczonych wygra Joe Biden, ale kampania, w której będzie rywalizował z Donaldem Trumpem będzie najbrutalniejszą w historii kraju. Stanowisko szefowej Komisji Europejskiej ma utrzymać Ursula von der Leyen. Fotel premiera Wielkiej Brytanii straci natomiast Rishi Sunak. Zastąpić ma go Keir Starmer z Partii Pracy.

Unijne i amerykańskie wsparcie wojenne dla Ukrainy ma być kontynuowane po porozumieniu w między Białym Domem a Kongresem oraz przełamaniu węgierskiej opozycji w Brukseli. Ukraina nie zdoła jednak dokonać znaczących przełomów na froncie i znajdzie się pod rosnącą presją, by rozpocząć negocjacje z Rosją.

Dziennikarze „FT” twierdzą także, że wojny regionalnej na Bliskim Wschodzie nie będzie – środki dyplomatyczne powstrzymają eskalację, nawet jeśli wzrośnie intensywność walk między Izraelem i Hezbollahem. Według „Financial Times”, spodziewany wyborczy sukces Laia Ching-te na Tajwanie i kontynuacja linii politycznej urzędującej prezydent, Tsai Ing-wen nie spowodują chińskiego ataku. Wielokanałowa presja Pekinu na Tajpej ma się jednak utrzymać.

„Financial Times” prognozuje, że Amerykański Kongres Narodowy – po 30 latach u steru władzy w RPA – zdobędzie mniej niż 50 proc. poparcia i będzie musiał sformować koalicyjny rząd. W 2024 roku świat będzie z uwagą obserwował Argentynę i działania jej prezydenta, Javiera Milei. Według „FT”, zapowiadane odejście od peso i dolaryzacja gospodarki nie nastąpi w tym roku, choć pozostanie długoterminowym celem. Sytuacja gospodarcza

ojczyzny dolara ma natomiast poprawić się w pierwszych miesiącach roku. W dłuższej perspektywie Stany Zjednoczone będą jednak musiały zmierzyć się z wieloma problemami. Chiny – pomimo problemów – nie zejść poniżej 3-procentowego wzrostu PKB. Według dziennika zbankrutuje natomiast X Elona Muska, a towarzyszyć temu będą emocje podobne do tych z okresu przejmowania platformy przez miliardera.

Przystąpienie do strefy euro nie leży w gospodarczym interesie Polski. To pułapka



PROF. KAZIMIERZ DADAK

Profesor ekonomii i finansów (Hollins University). Główne obszary zainteresowań naukowych: europejska integracja gospodarcza, makroekonomia porównawcza, polityka pieniężna, ekonomiczna i polityczna transformacja Europy Środkowo-Wschodniej po 1989 r. oraz historia gospodarcza Polski. Stały współpracownik dwumiesięcznika „Aracana” i tygodnika „Idziemy”.

Od wprowadzenia wspólnego pieniądza tempo wzrostu w strefie euro zaczęło odbiegać od średniej dla całej Unii. Grecja stała się de facto bankrutem, Włochy pozostają niedaleko w tyle, a niedługo może do nich dołączyć Hiszpania czy Francja

Strefa euro jest postrzegana jako ekskluzywny klub, w którym członkostwo ma być oznaką bogactwa, prestiżu i zaawansowanego rozwoju gospodarczego. Można przypuszczać, że w kraju, w którym zasada „zastaw się, a postaw się” jest nadal powszechnie wyznawana, perspektywa przystąpienia do strefy euro musi być niesłychanie nęcąca. Wszystkich chętnych wypada jednak przestrzec, że „opłaty członkowskie” w tym klubie są niesłychanie wysokie, tak że jeden członek jest już bez wątpienia bankrutem, zaś szereg innych milowymi krokami zbliża się do tego statusu.

Członkowie strefy stracili kontrolę

Według orędowników, wspólna waluta ma przynosić szereg korzyści. W szczególności ma ułatwiać wymianę handlową, zaś słabszym podmiotom pozwalać na zaciąganie długu po niższym oprocento-

waniu. Ostatnie kilkanaście lat postawiło ten ostatni plus pod dużym znakiem zapytania. Oprocentowanie na obligacje wypuszczane przez Włochy (nie wspominając nawet o Grecji) jest dużo wyższe niż to, które na przykład płaci rząd Niemiec czy Francji. Natomiast wyraźnie uwidoczniły się ujemne strony przynależności do strefy euro. Jej członkowie stracili kontrolę nad polityką pieniężną, a także możliwość odzyskania konkurencji na światowych rynkach w drodze wahań kursu wymiennego własnej waluty. Alternatywą na przykład dla dewaluacji waluty jest deflacja, czyli obniżka cen i płac, proces, który ze społecznego i gospodarczego punktu widzenia jest niesłychanie kosztowny i bolesny. Brak tych mechanizmów nie pozwala na stosunkowo łatwe przezwyciężanie tzw. ujemnych wstrząsów asymetrycznych.

Ujemnymi wstrząsami asymetrycznymi nazywamy zaburzenia, które dotyczą tylko pewnych gałęzi gospodarki, czy też

tylko niektóre regiony. Podręcznikowym przykładem takiego zjawiska jest na przykład gwałtowna zmiana ceny ropy naftowej. Jeśli jej cena na przykład szybko spada, to kraje OPEC mają kłopoty gospodarcze, zaś kraje, które ją importują w wielkich ilościach, przeżywają hossę. Przy takim obrocie spraw, waluty eksporterów tego surowca tracą na wartości, zaś importerów zwyżkują i dzięki temu pierwsi nie doświadczają ciężkiego kryzysu (bo dewaluacja czyni ropę tańszą i powoduje większy popyt na nią), zaś u drugich nie dochodzi do przegrzania gospodarki.

Oprocentowanie na obligacje wypuszczane przez Włochy (nie wspominając nawet o Grecji) jest dużo wyższe niż to, które na przykład płaci rząd Niemiec czy Francji

Ponadto bank centralny w państwie należącym do OPEC może obniżyć stopy procentowe, co także ułatwia przezwyciężenie kryzysu związanego z krachem na rynku ropy naftowej. Natomiast w krajach przeżywających boom z powodu taniej ropy, bank centralny może podnieść stopy procentowe, co dodatkowo wzmocnia hamujący wpływ zwyżki kursu wymiennego waluty. Jeśli taka sytuacja wydarzy się w natomiast jednym obszarze walutowym, to w regionie, w którym wydobywana jest ropa naftowa, mamy do czynienia z ciężkim kryzysem, który nie może być łagodzony spadkiem wartości

waluty, bo jest wspólna. Podobnie, bank centralny jest w kłopotcie, bo jeden region potrzebuje niższej stopy procentowej, a drugi dokładnie odwrotnie.

Prawie ćwierć wieku istnienia euro dostarcza dowodów na to, że powyższe rozważania – znane jako teoria optymalnych obszarów walutowych – ma pełne uzasadnienie w europejskiej rzeczywistości. Mniejsze i większe ujemne wstrząsy asymetryczne powodują, że strefa euro rozwija się wolniej, niż by mogła.

Słabe tempo wzrostu

Tabela 1 obrazuje tempo rozwoju strefy euro i jej członków na tle rozwoju gospodarczego w całej Unii. Eurostat podaje dane dotyczące PKB począwszy od roku 1995 i dlatego dzielimy ostatnie prawie 25 lat na 3 podokresy, 1995-1999 (przed wprowadzeniem w życie euro), 2000-2009 (do kryzysu w strefie euro) i 2010-2019, czyli do wybuchu pandemii. Ostatnie trzy lata, 2020-2023, pomijamy, ponieważ w tym okresie rozwój gospodarczy w wielkim stopniu zależał od decyzji poszczególnych rządów dotyczących kwarantann i wielkości pakietów pomocowych. W tabeli 1 również pomijamy dane dla dwu krajów, Luksemburga i Irlandii. Pierwszy jest maleńkim tworem gospodarczym, bardzo specyficznym, zaś w przypadku drugiego mamy do czynienia z zupełnie wyjątkowym zjawiskiem, skokowym wzrostem PKB w roku 2015, który przypuszczalnie nie miał nic wspólnego z realną gospodarką (prawdopodobnie wielki koncern ponadnarodowy przeniósł do tego raju podatkowego prawa autorskie do swoich patentów, co zgodnie z zasadami obliczania PKB zwiększa wartość tego wskaźnika).

Tabela 1.

Państwo / obszar	PKB per capita (euro)		Średni rocz- ny wzrost PKB 1995- 1999 (%)	PKB per ca- pita (euro) 2009	Średni rocz- ny wzrost PKB 2000- 2009 (%)	PKB per ca- pita (euro) 2019	Średni rocz- ny wzrost PKB 2010- 2019 (%)
	1995	1999					
UE-27	19650	21660	2,46	24410	1,20	28060	1,40
Strefa euro (12)	24210	26490	2,28	28690	0,80	31970	1,09
Belgia	26250	28890	2,42	32700	1,25	36110	1,00
Niemcy	26390	28100	1,58	30580	0,85	35950	1,63
Grecja	14910	16840	3,09	21350	2,40	17780	-1,81
Hiszpania	17930	20480	3,38	23100	1,21	25180	0,87
Francja	25610	28030	2,28	30250	0,77	33250	0,95
Włochy	24810	26440	1,60	26600	0,06	27230	0,23
Holandia	29200	33890	3,79	38160	1,19	41980	0,96
Austria	27590	30750	2,75	34830	1,25	38070	0,89
Portugalia	13640	15750	3,66	16710	0,59	18670	1,12
Finlandia	24090	28900	4,66	34150	1,68	37150	0,85

Dane: Eurostat

W latach 1995-1999 strefa euro (12 państw) rozwijała się niemal w takim samym tempie, jak cała UE. PKB na głowę mieszkańca wzrastał w niej z przeciętną szybkością 2,28% w skali rocznej, zaś w Unii 2,46%. Wypada podkreślić, że zgodnie z teorią doganiania (*catch-up effect*), państwa słabiej rozwinięte – Grecja, Hiszpania i Portugalia – notowały tempo rozwoju znacznie szybsze od średniej i zmniejszały dystans do najbogatszych. Niektóre państwa wysoko rozwinięte – Finlandia i Holandia – też przeżywały czas błyskawicznego wzrostu dobrobytu. Natomiast od chwili wprowadzenia w życie wspólnego pieniądza tempo wzrostu w strefie euro zaczęło istotnie odbiegać od średniej dla całej Unii – przeciętny roczny przyrost PKB na mieszkańca 0,80%, wobec 1,20% w latach 2000-2009. Wypada podkreślić wręcz katastrofalne wyniki Włoch – PKB per capita praktycznie tam się nie podniósł. Podobne

zjawisko można zaobserwować po krachu z 2008 r. Bez precedensu od czasu wielkiego kryzysu z lat 1929-1933, grecki PKB na mieszkańca zmalał o prawie 17% w całym okresie 2010-2019, czyli spadał w przeciętnym rocznym tempie ponad 1,8%. Także i w tym okresie gospodarka Włoch rozwijała się w ślimaczym tempie. Znacznie poniżej przeciętnej dla strefy euro i UE rośnie PKB per capita także w innym dużym państwie – Hiszpanii.

Tempo rozwoju strefy euro warto przyrównać do wyników dwu państw „starych” członków UE, którzy nie przystąpili do naszego ekskluzywnego klubu – Danii i Szwecji. W tabeli 2 pokazujemy także tempo wzrostu PKB na mieszkańca mierzone w euro w tych samych okresach w niektórych państwach naszego regionu, które z czasem przystąpiły do strefy euro (Słowenia i Słowacja) i tych, które tego nie uczyniły (Polska, Czechy, Węgry i Rumunia).

Tabela 2.

Państwo / obszar	PKB/cap, (euro)		Śr, rocz, wzrost 1995- 1999 (%)	PKB/cap, (euro) 2009	Śr, rocz, wzrost 2000-2009 (%)	PKB/cap, (euro) 2019	Śr, rocz, wzrost 2010-2019 (%)
	1995	1999					
UE-27	19650	21660	2,46	24410	1,20	28060	1,40
Str, €, (12)	24210	26490	2,28	28690	0,80	31970	1,09
Dania	37120	40800	2,39	43220	0,58	48970	1,26
Szwecja	28620	32470	3,21	38030	1,59	44180	1,51
Słowenia	11440	13530	4,28	17570	2,65	20780	1,69
Słowacja	6590	7700	3,97	11890	4,44	15960	2,48
Czechy	10240	10780	1,29	14690	3,14	18460	2,31
Węgry	6770	7550	2,76	9850	2,69	13310	3,06
Polska	4980	6160	5,46	9060	3,93	13070	3,73
Rumunia	3780	3690	-0,60	6550	5,91	9300	3,57

Dane: Eurostat

Na uwagę zasługuje to, że we wszystkich okresach, Szwecja rozwijała się szybciej, niż wynosiła średnia dla zarówno UE, jak i strefy euro, natomiast Dania nie była tak szczęśliwa. Ten fakt nie zaskakuje, jeśli przypomnimy, że Dania postanowiła przyjąć sztywny kurs wymienny korony do euro. Tym samym, kraj ten z jednej strony pozbawił się dobroczynnych skutków wahań kursu wymiennego, a z drugiej kontroli nad polityką pieniężną. Aby utrzymać niezmienny kurs wymienny, bank centralny Danii musi prowadzić politykę pieniężną bardzo zbliżoną do tej wcielanej w życie przez Europejski Bank Centralny. Natomiast Szwecja utrzymuje płynny kurs wymienny w stosunku do czołowych walut świata i dzięki temu nadal posiada pełną kontrolę nad swą polityką monetarną. Warto także pod-

kreślić, że państwa naszego regionu znacznie szybciej zwiększały swą stopę życiową (mierzoną w euro) niż – przeciętnie – UE i strefy euro.

Nie wpadnijmy w pułapkę

Przyjrzyjmy się także, czy fakt przyjęcia wspólnej waluty pomógł Słowenii i Słowacji rozwijać się szybciej, niż reszta państw regionu. Fakt ten obrazuje tabela 3, w której przyjmujemy tylko dwa podokresy – przed i po przyjęciu euro. W przypadku Słowenii skupiamy uwagę na okresach 1995-2006 i 2007-2019, ponieważ kraj ten przyjął euro w roku 2007. Natomiast Słowacja uczyniła to dopiero dwa lata później, dlatego dla pozostałych państw pod uwagę bierzemy lata 1995-2008 i 2009-2019.

Tabela 3.

Państwo / obszar	PKB per capita (euro)		Średni roczny wzrost PKB 1995-2008 (%)	PKB per capita (euro) 2019	Średni roczny wzrost PKB 2009-2019 (%)
	1995	2008			
UE-27	19650	25590	2,05	28060	0,84
Str, €, (12)	24210	30120	1,69	31970	0,54
Słowenia	11440	17 460*	3,92**	20780	1,35**
Słowacja	6590	12610	5,12	15960	2,16
Czechy	10240	15500	3,24	18460	1,60
Węgry	6770	10530	3,46	13310	2,15
Polska	4980	8900	4,57	13070	3,56
Rumunia	3780	6880	4,71	9300	2,78

* 2006, **Odpowiednio, 1995-2006 i 2007-2019.

Dane: Eurostat

Z tabeli 3 wynika, że na skutek przyjęcia wspólnej waluty, gospodarki Słowenii i Słowacji w istotny sposób obniżyły tempo wzrostu. Co prawda nadal rozwijały się szybciej, niż wynosiły przeciętne dla UE i strefy euro, niemniej zanotowały wyniki znacznie odbiegające od tempa przyrostu PKB per capita w Polsce i w Rumunii. Przed przyjęciem euro, stopa życiowa w Słowacji rosła w imponującym tempie ponad 5,1% rocznie i kraj ten szybko zwiększał dystans w stosunku do Polski. Po 2008 roku proces ten uległ odwróceniu. Jeszcze bardziej wyhamowała gospodarka Słowenii. Przed przyjęciem euro kraj ten rozwijał się w przeciętnym tempie prawie trzykrotnie wyższym niż po tym wydarzeniu.

Te zjawiska są w pełni zgodne z teorią ekonomii, która głosi, że wahania kursu wymiennego i zmiany stopy procentowej stanowią ważne mechanizmy pozwalające skutecznie przezwycięzać zaburzenia gospodarcze. Liczne badania wykazują, że strefa euro nie spełnia wymogów optymalnego obszaru walutowego i słabe wyniki całego tego systemu gospodarczego te wnioski w pełni potwierdzają. W wyniku

przystąpienia do strefy euro Grecja stała się de facto bankrutem, Włochy pozostają niedaleko w tyle, a po kolejnym kryzysie, który wcześniej, czy później nastanie, do tej kategorii zapewne dołączy Hiszpania, Portugalia, a może nawet Francja. Według danych OECD, na koniec roku 2019 publiczny dług Grecji wyniósł 200,8% PKB, Włoch 154,2, Portugalii 135,6%, Hiszpanii 120,4, a Francji 123,1%.

W sumie, przystąpienie do strefy euro nie leży w gospodarczym interesie Polski. Nasza gospodarka uchroniła się przed ciężkimi kłopotami dzięki automatycznemu mechanizmowi korekcyjnemu, jakim jest zmienny kurs wymienny złotego, oraz dzięki temu, że posiadamy możliwość prowadzenia polityki pieniężnej dostosowanej do bieżących potrzeb naszej ekonomii. Prawie ćwierć wieku istnienia wspólnej waluty UE dowodzi, że możliwe korzyści wynikające z jej przyjęcia są daleko mniejsze od kosztów, które niesie w sobie przystąpienie do strefy euro. W przypadku Polski, posiadanie własnego pieniądza to jest klucz do dobrobytu i szybkiego wzrostu PKB.

Czy naprawdę Ukraina i Zachód przegrywają?



ROBERT KURASZKIEWICZ

Stały współpracownik Nowej Konfederacji. W latach 80-tych działacz opozycji antykomunistycznej w Ruchu Młodzieży Niezależnej i Ruchu Młodej Polski, jeden z założycieli Zjednoczenia Chrześcijańsko Narodowego, publicysta, przedsiębiorca i menadżer

Nie rozumiem malkontenckich komentarzy, głoszących, że Ameryka przegrywa. Wojna na Ukrainie to ciąg amerykańskich sukcesów. Inna sprawa, że te sukcesy po części są przyczyną obecnych kłopotów z uchwaleniem kolejnej transzy amerykańskiej pomocy

Ukraina w końcu roku 2023 znalazła się w bardzo trudnej sytuacji. Putin odzyskał inicjatywę i atakuje na wielu frontach. Intensyfikacja działań Rosji, niewątpliwy kryzys polityczny w elitach ukraińskich oraz przeciąganie decyzji o wsparciu Ukrainy ze strony Stanów Zjednoczonych i Unii Europejskiej sprawiają wrażenie, że nadchodzi załamanie oporu Ukraińców. Pojawiły się w związku z tym dramatyczne oceny, że Ukraina przegrywa tę wojnę, cokolwiek to ma znaczyć. Uważam, że jest inaczej – choć rzecz jasna Kijów płaci straszną cenę.

Częściowe sukcesy Putina

Po wielu porażkach w pierwszym roku wojny, w roku 2023 Putin odnotował niewątpliwie kilka sukcesów. Po pierwsze uniknął krachu gospodarczego i przestawił gospodarkę na tory wojenne. Gospodarka rosyjska odnotowuje solidny wzrost gospodarczy, a wszelkie wskaźniki dowodzą wzrostu dobrobytu, dlatego, że na gos-

podarce wojennej – gospodarce śmierci – korzystają w pierwszej kolejności warstwy biedniejsze. Oczywiście poza tymi, którzy zginą lub zostaną kalekami. Po drugie, Putin organizował dostawy materiałów wojennych, przede wszystkim amunicji z Korei i dronów z Iranu. W pierwszych dniach stycznia Ukraińcy przedstawili dowody na to, że Rosja używa również koreańskich rakiet balistycznych. Zwiększenie własnej produkcji podstawowej amunicji artyleryjskiej kalibru 152 mmm do poziomu 2 mln sztuk powoduje, że Rosjanie odzyskali przewagę w użyciu artylerii na polu walki. Daleko im jednak do poziomu przewagi z początku wojny. Rosjanie produkują i remontują w tej chwili tyle czołgów, ile cała reszta świata, ale z drugiej strony ciągle jest to mniej niż straty ponoszone na froncie. Po trzecie wreszcie, Putin skonsolidował władzę i z odległości nie widać nawet oznak walk frakcyjnych na rosyjskich szczytach władzy.

Jest też druga strona medalu. Noto-

wany wzrost gospodarczy w Rosji ma cha-

rakter ekstensywny i nie tworzy wartości dodanej. Wydatki są kierowane na potrzeby frontu i wstrzymuje się projekty rozwojowe. Aby doprowadzić do wzrostu zaopatrzenia na froncie, narusza się już finansowe rezerwy strategiczne. Tym bardziej, że ograniczany jest dostęp do wymienialnych walut jak dolar czy euro. W tej chwili tylko 25% dochodów z eksportu węgłowodorów z Rosji jest realizowane w tych walutach.

Po wielu porażkach w pierwszym roku wojny, w roku 2023 Putin odnotował niewątpliwie kilka sukcesów. Uniknął krachu gospodarczego i przestawił gospodarkę na tory wojenne

Rosja na zawsze straciła swój lewar polityczny, polegający na wykorzystywaniu infrastruktury gazowej do realizacji imperialnych (i finansowych) interesów. Na rynku ropy stała się młodszym partnerem Arabii Saudyjskiej i ma niewielki wpływ na kształtowanie globalnej polityki cenowej. Musi się dostosowywać do decyzji podejmowanych w Rijadzie i liczyć na to, że będą one również korzystne dla Moskwy, jak to wciąż ma miejsce.

Cena ropy ma krytyczny wpływ na możliwości prowadzenia wojny przez Rosję. Spadek cen o kilkanaście dolarów na baryłce doprowadzi do dramatycznego przyspieszenia tempa wykorzystywania rezerw finansowych. Cena ropy może być (zakładam, że będzie) game changerem

w roku 2024. Rosja przestawiła się na tory gospodarki wojennej, ale zdolności do prowadzenia wojny o takiej intensywności będzie miała tylko w roku 2024. Dlatego Rosja będzie chciała doprowadzić do rozstrzygnięcia w najbliższym czasie. Stąd eskalacja ataków na ukraińskie linie w Donbasie i infrastrukturę krytyczną. Nowością jest to, że Rosja wróciła do taktyki czysto terrorystycznych ataków na cywilną infrastrukturę. Ta fala bezwzględnych ataków ma sparaliżować ukraiński opór i jednocześnie udowodnić Zachodowi, że dalsze wspieranie Ukrainy nie ma sensu.

Ameryka nie przegrywa

Ukraina w trakcie wojny ponosi ogromne koszty walki o niepodległość. Degradacja infrastruktury, katastrofa demograficzna i co najmniej dziesiątki tysięcy zabitych lub ciężko rannych i strauumatyzowanych mężczyzn – koszty walki są dla Ukrainy nieporównywalnie większe niż dla Rosji. Dzisiaj stało się jasne, że „piękne przełamanie” na froncie jest niemożliwe. Ukraina musi się przygotować na długą walkę i to bez gwarancji osiągnięcia swoich maksymalnych celów, a w zasadzie z bardzo małym tego prawdopodobieństwem. I tutaj pojawia się największy znak zapytania: czy Ukrainie wystarczy woli walki do kontynuowania tak krwawego oporu? Impas na froncie w tej wojnie nie oznacza, że nie będą się toczyły ciężkie i krwawe walki.

Drugie pytanie dotyczy finansowej pomocy ze strony Zachodu. Już w roku 2023 Ukraina mogła prowadzić wojnę tylko dzięki pomocy z USA i z Europy. Ponad 50% wydatków ukraińskiego budżetu pokrywane jest dziś z transz przekazywanych przez sojuszników – i to nie licząc pomocy

wojskowej. Jeżeli w styczniu USA i UE nie uchwalą pomocy finansowej dla Ukrainy, w marcu lub kwietniu państwo ukraińskie ulegnie implozji, a w ślad za tym straci możliwości prowadzenia wojny.

W USA wsparcie dla Ukrainy stało się zakładnikiem polityki wewnętrznej. PISAŁIŚMY o tym wielokrotnie na łamach „Nowej Konfederacji”. Ale z tej sytuacji musimy również wyciągać wnioski dotyczące polityki globalnej. Gdyby w tej chwili Ukraina i Europa stały wyżej w hierarchii strategicznych interesów amerykańskich, taka sytuacja nie miałaby miejsca. Przyznam się jednak, że nie rozumiem mal-kontenctwa w ocenie polityki amerykańskiej, która sprowadza się do głoszenia, że Ameryka „przegrywa”. Wojna na Ukrainie to ciąg amerykańskich strategicznych sukcesów. I to jest po części przyczyna obecnych kłopotów z uchwaleniem kolejnej transzy amerykańskiej pomocy. Waszyngton po prostu osiągnął już większość swoich celów. Rosja strategicznie ugrzęzła na Ukrainie i w efekcie jest mocno osłabiona. Państwa europejskie zwiększają swoje wydatki zbrojeniowe i muszą przejąć większą odpowiedzialność za obronę kontynentu europejskiego. Wielkim tego beneficjentem jest między innymi amerykański przemysł obronny. Niezastąpiony Donald Trump twierdzi nawet, że gdy zostanie prezydentem USA, to wymusi na Europie zwrot kwot, które budżet Stanów Zjednoczonych wydał na wojnę w Ukrainie. Były prezydent w sposób przejawiskrawiony, ale jednak trafnie opisuje w ten sposób kierunek strategii USA. A kierunek ten – to zwiększanie zaangażowania militarnego krajów europejskich.

NATO poszerzyło się i wzmocniło. Na rynku gazu Amerykanie praktycznie wykosili swojego największego konkurenta,

czyli Rosję, z najbardziej lukratywnego rynku europejskiego. Za kilka lat będą, również dzięki wojnie i jej skutkom, największym eksporterem gazu na świecie. Nawiasem mówiąc, to z tego powodu Donald Trump przeciwstawiał się planom uruchomienia Nord Stream II, a nie z powodu dbałości o interesy Europy Środkowo-Wschodniej, a tym bardziej Ukrainy, już nie wspominając o Polsce.

W USA trwają ogromne inwestycje w zwiększenie mocy przerobowych terminali skraplających do eksportu gazu ziemnego. Trump chciał zapewnić dla

Wzrost gospodarczy w Rosji ma charakter ekstensywny i nie tworzy wartości dodanej. Wydatki są kierowane na potrzeby frontu i wstrzymuje się projekty rozwojowe

nich zbyt, a problem rozwiązał za niego sam Putin. W październiku Stany Zjednoczone zanotowały historyczny rekord w wydobywaniu ropy naftowej, korzystając z koniunktury wytworzonej przez Putina i politykę obrony ceny baryłki prowadzonej przez Arabię Saudyjską. To dlatego być może Waszyngton tak mało naciskał na Rijad w celu zwiększenia produkcji i spadku cen ropy. Amerykańscy nafciarze są jednymi z beneficjentów tej wojny, a nawet przy obecnej cenie baryłki inflacja w USA jest opanowana. Nadzieją na to, że Amerykanie zbyt szybko nie wycofają się z poparcia Ukrainy, jest zaangażowanie Joe

Bidena w tworzenie „osi demokracji” jako geopolitycznego narzędzia powstrzymującego autokrację. Obecnie – na całe szczęście – nie są w stanie zaakceptować Ukrainy jako państwa upadłego. Dlatego zakładam, że mimo wszystko pakiet wsparcia dla Ukrainy na rok 2024 zostanie uchwalony w styczniu. Cała ta sytuacja pokazuje, jak absurdalne były koncepcje nowej osi bezpieczeństwa opartej na współpracy Waszyngtonu z Kijowem i Warszawą. Już nie mówiąc o federacji polsko-ukraińskiej. Polityka amerykańska jest jasna: powstrzymywanie i osłabienie Rosji na dziś, ale bez zaangażowania w budowę osi bezpieczeństwa antyrosyjskiego na koszt amerykański. Tę rolę musi pełnić Europa. Doradcy Republikanów już dzisiaj uważają, że Stany Zjednoczone wydają zbyt wiele na wsparcie militarne Ukrainy kosztem interesów amerykańskich w Azji. Dlatego udział Ukrainy w NATO nie jest celem i narzędziem wojny, a – ewentualnie – funkcją jej zakończenia. Inaczej mówiąc: kiedy wojna już się zakończy, będzie można zacząć poważną rozmowę o udziale Ukrainy w NATO.

Odpowiedzialność za wojnę spada na Europę

W związku z tym fundamentalnie ważna dla dalszego prowadzenia wojny przez Ukrainę była decyzja o rozpoczęciu negocjacji członkowskich z UE. Jeżeli nie NATO i to pod szyldem Amerykanów – to Unia Europejska jest nadzieją Ukrainy na integrację ze strukturami Zachodu, które mogą zapewnić jej bezpieczeństwo. Bez tej decyzji sytuacja Ukrainy byłaby dużo gorsza: brak celu politycznego osłabiałby morale. W związku z polityką Amerykanów to na Europę spada coraz większa odpowiedzialność za wojnę. Europa, poza

oczywiście Ukrainą ponosi największe jej koszty. Dziś widzimy zwrot w polityce niemieckiej i francuskiej w kierunku przekonania, że współpraca z Rosją nie jest i nie będzie podstawą bezpieczeństwa europejskiego. To jest również wielki sukces amerykański.

Rosja jest traktowana jako czynnik trwale destabilizujący Europę i jako taki zagraża projektowi europejskiemu. Z drugiej strony poszerzenie Unii na wschód może posłużyć jako narzędzie jej dalszej integracji. Mamy teraz pakiet podstawowy dla zaangażowania państw europejskich

Na rynku gazu Amerykanie praktycznie wykosili swojego największego konkurenta, czyli Rosję, z najbardziej lukratywnego rynku europejskiego

w wojnę. Moim zdaniem jest on największą nadzieją na to, że Ukraina nie zostanie w pewnym momencie pozostawiona sama sobie. Cele polityki amerykańskiej w odniesieniu do tej wojny zostały w daleko idącym stopniu zrealizowane, a cele polityki europejskiej, które powstały w trakcie wojny – nie. Dzisiaj Europa łącznie przeznaczyła już więcej środków na wsparcie Ukrainy niż USA – i to nie licząc kosztów migracji, czy też kosztów kryzysu energetycznego. Ukraina obroni swoją niepodległość tylko jeśli państwa europejskie uznają jej los za podstawowe zagadnienie bezpieczeństwa europejskiego. Dla nas jest to jedyna nadzieja, że nie będziemy

państwem frontowym – co nie byłoby dla Polski żadną przewagą, ale katastrofą. Nie mamy żadnego wpływu na politykę amerykańską, ale możemy mieć wpływ na politykę europejską. Na tym powinna się w związku z tym koncentrować polityka zagraniczna nowego rządu. Europa to obecnie podstawowe wyzwanie dla polityki polskiej. Musimy starać się kształtować nową politykę europejską w odniesieniu do wojny zgodnie z realistycznie pojmowanym polskim interesem narodowym.

Pomimo ogromnej ceny krwi płaconej na froncie, jej rytm wyznaczać będą decyzje finansowe. Zakładam, że transze finansowe wspierające funkcjonowanie państwa ukraińskiego zostaną uchwalone w USA i w UE, co pozwoli Ukrainie kontynuować walkę w 2024 roku. Wbrew propagandzie, Rosja będzie nadal słabnąć, ale po ustaleniu reguł gry w wojnie na rok 2024 do gry wróci dyplomacja – i tym bardziej Polska musi być w tych rozmowach dyplomatycznych aktywna.

Państwo Schrödingera i gra w cykora. Ponowienie aktu łaski nie zakończy kryzysu



PIOTR TRUDNOWSKI

Członek i b. prezes Klubu Jagiellońskiego. Publicysta i działacz obywatelski. W 2023 r. koordynator zadania publicznego „Instytut Demokracji Bezpośredniej”. Zajmuje się polityką z pozycji nowej chadecji, republikańskiego populizmu i radykalnej demokracji. Mąż Karoliny, tata Leona i Józefa.

Dziś jednocześnie akt łaski jest skuteczny i nieskuteczny, Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych jest sądem i nim nie jest, Kamiński i Wąsik są i nie są posłami...

Uwięzienie ministrów Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika zaostrza i eksponuje rangę kryzysu konstytucyjno-ustrojowego w którym znalazła się Polska. Choć wielu komentatorów uważa, że kluczem do deeskalacji jest ponowny akt łaski wydany przez Prezydenta RP, to jakkolwiek istotny na poziomie osobistych losów polityków – kryzysu w żaden sposób to nie zakończy.

Ponowny akt łaski nic nie da

Zatrzymanie Kamińskiego i Wąsika najpewniej urośnie do rangi symbolu. Po pierwsze, sam fakt ich zatrzymania w Pałacu Prezydenckim jest doniosły, bezprecedensowy i symptomatyczny dla głębokiej erozji zaufania pomiędzy politycznymi aktorami.

Po drugie, rodzi wielkie emocje na poziomie ludzkim. U jednych będzie budzić głębokie współczucie względem osadzonych, u innych – satysfakcję, że postaci ze świecznika przestały być w Polsce bezkarne.

Po trzecie wreszcie ma też z pewnością znaczenie partyjno-sondażowe. Konsoliduje prawicę wokół nowego mitu, a po stronie zwolenników nowej władzy ma być symbolem skuteczności antypisowskiej wendetty. Pierwsze badania wskazują, że opinia Polaków w tej kwestii jest rozłożona mniej więcej analogicznie do wyników wyborów z 15 października. Rządzący mają więc, na dziś, w opinii publicznej przewagę.

Problem w tym jednak, że ten najbardziej koncentrujący uwagę opinii publicznej fakt uwięzienia dwóch polityków, jakkolwiek doniosły na każdym ze wskazanych poziomów, nie jest dla ogółu sytuacji fundamentalny. Fundamentalny jest spór o prawidłowość i skuteczność bądź nieprawidłowość i nieskuteczność wygaszenia ich mandatów. Oraz fakt, że nie ma dziś w Polsce kto tego sporu rozstrzygnąć w sposób niebudzący wątpliwości.

Dlatego mylą się liczni komentatorzy, którzy twierdzą, że kluczem do deeskalacji czy wręcz zakończenia sporu jest ponowny

lub „zmodyfikowany” akt łaski w wykonaniu Andrzeja Dudy. Taki pogląd wyrazili w ostatnich dniach choćby Bartosz Węglarczyk, Dominika Wielowieyska czy w dłuższym tekście na łamach „Więzi” Bartosz Bartosik.

„Ponowne” ułaskawienie nie będzie bowiem rozwiązywało kluczowego problemu, jakim jest spór o ważność aktu łaski i brak możliwości jednoznacznego, oczywistego i powszechnie akceptowalnego rozstrzygnięcia, kto ów spór jest władny rozstrzygnąć.

Jeśli uznamy go za skuteczny w wymiarze abolicji indywidualnej – Kamiński i Wąsik nie mogli być skazani, więc przede wszystkim są posłami. Ewentualne zastąpienie ich innymi posłami w Sejmie będzie w tej optyce oznaczało, że mamy do czynienia, posługując się dotychczasową retoryką krytyków „reform” PiS, z „posłami-dublerami”.

Idąc dalej za tą analogią: organ nieprawidłowo obsadzony nie jest organem, więc mamy „nie-Sejm” uchwalający „nie-ustawy”. Względnie, przez analogię do „trybunału Julii Przyłębskiej” – „sejm Szymona Hołowni” w miejsce Sejmu RP...

Konsekwencje tego podejścia są zatrważające. Efektem może być na przykład scenariusz, w którym prezydent Duda kieruje przed podpisem wszystkie ustawy nowego Sejmu po „wygaszeniu” mandatów do Trybunału Konstytucyjnego, a ten konsekwentnie uznaje je właśnie za „nie-ustawy”. Tyczyć się to może w teorii i ustawy budżetowej, co z kolei mogłoby skończyć się skróceniem kadencji Sejmu przez Prezydenta RP w trybie art. 225 Konstytucji RP i zarządzeniem przez niego nowych wyborów (art. 98 ust. 4). To zaś otworzy spór o prawidłowość tych decyzji (kolejno TK i Prezydenta) i wyescaluje

ostatecznie poziom konfliktu do standardów republik bananowych.

Kto pierwszy się przestraszy

Prawdę mówiąc taki bieg wypadków oznaczałby logiczne wyciąganie konsekwencji ze swoich stanowisk przez poszczególnych aktorów. Na szczęście politycznie ten scenariusz wydaje się mało prawdopodobny z uwagi na sondaże. Jesteśmy jednak w chwili takiego spiętrzenia emocji, że racjonalność i kalkulacja mogą ustąpić pola emocjom, symbolom i chęci wykazania się determinacją.

Opinia Polaków w tej kwestii jest rozłożona mniej więcej analogicznie do wyników wyborów z 15 października. Rządzący mają więc, na dziś, w opinii publicznej przewagę

Jesteśmy bowiem w kulminacyjnym momencie „gry w cykora”. Przypomnijmy – to znana z teorii gier sytuacja ilustrowana przykładem, w którym dwa auta pędzą na siebie ze śmiertelną prędkością, a wedle zasad „gry” przegrywa ten, kto wyhamuje lub skręci. Zakłada się, że w tej grze opłacalna jest „strategia szaleńca” – przekonanie przeciwnika, że to z pewnością nie my będziemy tymi, którzy pierwsi stchórzą. Problem zaś w tym, że nie jesteśmy w modelowej grze, ale we wspólnym państwie – i pędzimy solidarnie jednym autem na ścianę.

Sytuację polityczną paradoksalnie tylko pogarsza fakt, że prawnie obie strony mają swoje całkiem donośne argumenty. Zwolennicy ważności łaski – wyrok TK, decyzje Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych, „podręcznikowe” stanowisko części doktryny sprzed 2015. Przeciwnicy ważności łaski – decyzję Sądu Najwyższego z 2017 roku, wyrok sądu powszechnego, rzesze tzw. autorytetów prawnych i wreszcie suflowaną przez międzynarodowe orzecznictwo i powielaną na polskim gruncie doktrynę „nie-sądu” dotyczącą Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych.

To oczywiście efekt chaosu, jakiego doświadczamy na poziomie prawno-ustrojowym od 2015 roku, którego początkiem był spór o Trybunał Konstytucyjny. To szalenie istotne, bo właśnie ten organ w polskim ustroju odpowiada nie tylko za badanie konstytucyjności aktów prawnych, ale też rozstrzyganie sporów kompetencyjnych pomiędzy centralnymi organami władzy. Więc to on powinien rozstrzygać ostatecznie spór o ważność aktu łaski, „poprawność” Izby Kontroli Nadzwyczajnej czy wreszcie spór między nią a Izbą Pracy i marszałkiem Hołownią...

Dopóki tego nie zrobi w sposób budzący wątpliwości – prawnie, państwowo i ustrojowo jesteśmy w „Polsce Schrödingera”. Przypomnijmy – w metaforze „kota Schrödingera” znanej z mechaniki kwantowej zamknięty w pudełku kot jest jednocześnie i martwy, i żywy. Tak samo, jak dziś jednocześnie akt łaski jest skuteczny i nieskuteczny, Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych jest sądem i nim nie jest, Kamiński i Wąsik są i nie są posłami...

„Otwarcie pudełka” powinno być rozstrzygnięciem tych kwestii przez Trybunał

Konstytucyjny, który w ramach jakiegoś politycznego kompromisu spróbowali-byśmy z pudełka wyciągnąć i „naprawić”. To jest doprowadzić do takiej jego reformy, która przywróci mu autorytet i powszechne uznanie, a następnie oczekiwać na jego rozstrzygnięcia w każdej ze spraw.

Wbrew pozorom to nie tak trudne. Docelowy i optymalny scenariusz – reset drogą noweli konstytucyjnej i wybranie w pełni nowego składu TK kwalifikowanymi większościami głosów – nie jest do tego niezbędny. Wystarczające byłoby do tego samo rozwiązanie problemu trzech negowanych sędziów.

Opinia Polaków w tej kwestii jest rozłożona mniej więcej analogicznie do wyników wyborów z 15 października. Rządzący mają więc, na dziś, w opinii publicznej przewagę

Tego nie chce jednak żadna ze stron. Dla PiS i prezydenta – oznaczałoby przyznanie się do błędów. Dla nowej większości – wymagałoby zaakceptowania sytuacji, w której jeszcze przez kilka lat większość w TK mają nominaci PiS.

Gramy więc dalej w cykora, w której obie strony przyjęły „strategię szaleńca”. Niestety ściana, która przed nami, nie jest nawet w „pudełku Schrödingera”. Jest bardzo realna, a zderzenie z nią będzie bardziej bolesne, niż wciąż wielu ma odwagę sądzić.

Tusk upokarza Dudę, prezydent przegrzewa temat. Ta sytuacja ośmiesza państwo



PATRYK GORGOL

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”, prawnik z doświadczeniem managerskim w branży nieruchomości, ekspert w zakresie prawa oraz polityki międzynarodowej, ze szczególnym uwzględnieniem polskiej polityki zagranicznej i Bliskiego Wschodu. Na Twitterze @PatrykGorgol

Kolejne publiczne upokorzenia prezydenta nie sprawią, że się on podporządkuje. Przeciwnie – będzie próbował odpowiedzieć przy wykorzystaniu potężnych narzędzi takich jak prawo weta czy możliwość odsyłania ustaw do TK

Andrzej Duda został upokorzony przez obóz rządzący. Tym upokorzeniem była interwencja policji w Pałacu Prezydenckim. To musi oznaczać konflikt i eskalację, podczas gdy w interesie państwa jest pragmatyczna współpraca i kompromis. W tym tempie za 3 miesiące rząd nie będzie uznawał prezydenta, a prezydent rządu. Rozwiązanie problemów dotyczących sądownictwa musi nastąpić na poziomie politycznym, a to wymaga uchwalenia ustaw.

Polityczne tło sporu jest oczywiste – koalicja rządząca obiecywała rozliczenie PiS-u. Ewentualne osadzenie byłych ministrów tego rządu w więzieniu byłoby wręcz realizacją programu wyborczego. Poza tym premier Donald Tusk chce wysłać do prezydenta i polityków PiS-u komunikat: nie ma miękkiej gry. Z drugiej strony prezydent Andrzej Duda występował w obronie swojej – jak uważa – prerogatywy do stosowania prawa łaski jeszcze przed prawomocnym skazaniem. Dodatkowo na prawicy szykuje się rywa-

lizacja o przywództwo w obozie, w którym prezydent, chociażby z racji zajmowanego stanowiska, posiada najlepsze karty do gry. Podgrzanie tego sporu i równoległego dotyczącego statusu posła było więc też w interesie PiS-u, poszukującego paliwa po tym, jak znalazł się w głębokiej defensywie. Obrona milionerów z TVP mniej „grzeje” elektorat PiS-u niż losy Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika.

Jeżeli nie można wygrać rozgrywki, to trzeba chociaż ograniczać straty. Po przejściu władzy przez Koalicję 15 Października i prawomocnym skazaniu Macieja Wąsika oraz Mariusza Kamińskiego przez sąd karny, w interesie Pałacu Prezydenckiego było poszukanie wyjścia z sytuacji. Wyjście takie musiałoby pozwolić na pozostaniu ww. polityków na wolności, a jednocześnie pozwalałoby twierdzić, że nic w kwestii prerogatywy prezydenta się nie zmieniło. Udało się nawet znaleźć takie rozwiązanie – czy to poprzez zmianę poprzedniego ułaskawienia, czy to poprzez wydanie nowego z zastrzeżeniem, że celem

jest rozwianie jakichkolwiek wątpliwości, i że nic się nie zmienia w kwestii prerogatywy, ale jest chaos i trzeba zażegnać kryzys.

Zamiast tego zdecydowano się na przegrzanie tego tematu i wykreowanie bardzo wysokich oczekiwań co do roli prezydenta. Najpierw urzędnicy Kancelarii wskazywali, że nie będzie „drugiego ułaskawienia”, czym odcięto prezydentowi drogę odwrotu, a następnie zdecydowano się na oficjalne zaproszenie Wąsika i Kamińskiego do Pałacu Prezydenckiego. Zostało to publicznie odebrane jako forma quasi-azyłu, przy czym Kancelaria Prezydenta to nie ambasada Ekwadoru w Londynie. Jednocześnie nie bardzo wiadomo, co miało być celem – pobyt w Pałacu w charakterze gości na czas nieokreślony? Doprowadzenie do zatrzymania na planowanym marszu poparcia? Powrót do domu pod osłoną nocy? Ocena sprawczości prezydenta na podstawie tego, czy zapobiegnie zatrzymaniu, jest katastrofalnym błędem, bo jasne było, że do tego zatrzymania po prostu dojdzie. Zaskoczeniem było tylko aż tak sprawne przeprowadzenie akcji przez policję, co prawdopodobnie nie byłoby możliwe, gdyby nie współpraca SOP.

Po zatrzymaniu Wąsika i Kamińskiego, prezydent nadal może ich powtórnie ułaskawić (i byłoby to najlepsze rozwiązanie z punktu widzenia państwa), jednakże w obecnej sytuacji – tj. po tym, jak policja wkroczyła do Kancelarii Prezydenta – będzie to odebrane jako porażka Dudy. Niewątpliwie padnie bowiem pytanie, czy nie można było tak zrobić od razu. Urzędnikom z kolei wypomniane zostaną wypowiedzi, że takiego ułaskawienia nie będzie. Prezydent nie ma innych kart, bo odpowiedź drugiej strony będzie taka, że nawet gdyby chcieli, to nie mogą, bo nie ingerują we władzę sądowniczą, a skaza-

nym przysługuje jeszcze przecież kasacja do Sądu Najwyższego.

W tej sytuacji pojawia się pytanie o dalszą strategię obozu rządzącego. Musi on sobie zdać sprawę z tego, że kolejne publiczne upokorzenia prezydenta nie sprawią, że się on podporządkuje. Przeciwnie – będzie próbował odpowiedzieć przy wykorzystaniu potężnych narzędzi takich jak prawo weta czy możliwość odсылania ustaw do TK. Bez – chociażby – neutralności prezydenta przez następne ponad półtora roku nie uda się przeprowadzić ważnych zmian w mediach i sądownictwie, co będzie sprzyjało chaosowi i dalszej grze w to, kto kogo nie uznaje i z jakich przyczyn.

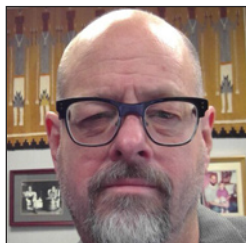
Po zatrzymaniu Wąsika i Kamińskiego, prezydent nadal może ich powtórnie ułaskawić (i byłoby to najlepsze rozwiązanie z punktu widzenia państwa), jednakże w obecnej sytuacji będzie to odebrane jako porażka Dudy

Ustabilizowanie sytuacji może nie leżeć w interesie politycznym, ale jest bardzo w interesie państwa. Nie będzie jednak kompromisu bez świadomości obydwu stron: rządu, że nie „obejdzie” prezydenta, oraz prezydenta, że jego kadencja niedługo się kończy, a dotychczasowe „reformy” wymiaru sprawiedliwości ten obecny chaos w dużej mierze wykreowały. Rozwiązanie części problemów, zwłaszcza tych doty-

czących prawa, musi odbyć się na poziomie politycznym, bo alternatywą jest pogłębienie podwójnej rzeczywistości, w której

dwie izby Sądu Najwyższego wydają odmienny wyrok w tej samej sprawie. Taka sytuacja ośmiesza państwo.

W kosmosie jesteśmy skazani na brutalny realizm (geo)polityczny



EVERETT C. DOLMAN

Profesor porównawczych studiów wojskowych w Kolegium Dowództwa i Sztabu Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych (ACSC). W swojej pracy skupia się na stosunkach międzynarodowych i teorii kosmosu. Został zidentyfikowany jako pierwszy teoretyk przestrzeni kosmicznej Air University.

Choć państwa publicznie odzęgują się od wykorzystywania przemocy i siły w operacjach kosmicznych, wszystkie kraje obecne w kosmosie mają wojskowe misje i cele oraz dysponują planami awaryjnymi w tym zakresie. Wprowadzenie do książki Everetta C. Dolmana

Astropolitik jest wielką strategią. W rzeczy samej, jest ona największą strategią z możliwych. Cała Ziemia zostaje sprowadzona do poziomu jednego elementu w ramach globalnego podejścia – elementu oczywiście kluczowego, ale w wielu przypadkach zaledwie peryferyjnego. W tym krótkim tekście podjęta zostanie próba zarysowania ogólnych ram spójnego, strategicznego stanowiska w kwestii rywalizacji między państwami, jaka prowadzona jest w przestrzeni kosmicznej obecnie i jaka będzie prowadzona w niedalekiej przyszłości. Nie jest to ujęcie operacyjne ani taktyczne. Technologie wojenne oraz zaawansowane technologie dotyczące stosowania siły są tutaj uwzględniane tylko o tyle, o ile naświetlają i uzasadniają politykę strategiczną.

W swej najbardziej podstawowej postaci Astropolitik stanowi przedłużenie głównie dziewiętnasto- i dwudziestowiecznych teorii z zakresu globalnej geopolityki, ujmowanych w tym szerokim kontekście, jakim jest podbój przestrzeni kosmicznej przez człowieka. W bardziej ogólnej i ca-

łościowej interpretacji jest ona zastosowaniem wiodącej i dopracowanej, realistycznej wizji międzypaństwowej rywalizacji do polityki kosmicznej, zwłaszcza jeśli chodzi o rozwój i ewolucję prawnych i politycznych ustrojów w imię zajmowania przez ludzkość kosmosu. W niniejszej pracy przyjęte zostało pierwsze z tych podejść, któremu początek dał szereg trafnych spostrzeżeń poczynionych przez Dandridge'a Cole'a i Marca Vauchera, ale którego synteza nigdy nie została należycie dokonana, tak by mogło być ono bardziej prowokujące akademicko¹. Podstawowa forma tego bardziej precyzyjnego i rygorystycznego modelu jest w pełni zarysowana tutaj po raz pierwszy. Podejście drugie – na które składa się już pokaźna i wciąż rosnąca literatura i które swój najlepszy wyraz znalazło w znakomitym opracowaniu autorstwa Waltera McDougalla, poświęconym konfrontacji supermocarstw w erze kosmicznej – jest przywoływane dla uwydatnienia i lepszego objaśnienia ujęcia w tej pracy dominującego².

Nie oznacza to lekceważenia czy umniejszania istotności realistycznego – a wręcz wpisującego się w ostrą Realpolitik – postrzegania ludzkiej skłonności do konfrontacyjnych stosunków dyplomatycznych w kontekście dziejów eksploracji kosmosu. Polityczny realizm jest centralnym wątkiem niniejszej książki. Bez tej kroniki ery kosmicznej, jaką zmuśnię opracowują juryści i historycy, astropolityka w ujęciu tu przedstawionym mogłaby nie być zrozumiała. Chciałbym po prostu przyznać, że inni są o wiele bardziej zasłużeni dla rozwoju tej tematyki i że jeśli ta książka okaże się mieć jakąś wartość, to nie będzie tak dzięki wniesieniu jakiegoś znaczącego wkładu do tego wspólnego astro-historycznego zbioru. Podjęty tutaj wysiłek w pierwszym rządzie jest próbą narzucenia bardziej rygorystycznych ram konceptualnych rozmaitym kierunkom kosmicznej polityki i historii, ustanowienia odrębnej dziedziny realistycznych badań (akademickich i teoretycznych) odnoszących się do sfery kosmicznej oraz uwydatnienie tego, co należy i co nie należy do astropolityki. Podobnie jak nadużywany jest termin „geopolityka”, przez co zmniejsza się jego moc eksplanacyjna i użyteczność, tak też dzieje się w przypadku pojęcia „astropolityka”. Jeśli astropolityczne jest wszystko, co dzieje się w kosmosie, to pojęcie to staje się pozbawione znaczenia.

A zatem proponuję, by „zagnać” te elementy nauki o kosmosie i polityce, które uznaje się za realistyczne, na właściwe im miejsca w ramach wielkiej strategii. Colin Gray w przenikliwym opracowaniu na temat znaczenia i roli współczesnej strategii w nieomal nieodparty sposób przekonuje, że elementy strategii pozostają niezmiennie i obowiązujące we wszystkich wymiarach analizy – to znaczy

w obrębie systemu, w obrębie poziomów i w obrębie czasu³. Jego argumentacja jest w pełni zgodna z założeniami astropolityki oraz Astropolitik: „wszelkie strategiczne doświadczenia ze wszystkich epok historycznych łączy pewna istotowa jedność, gdyż nic z tego, co kluczowe dla natury i funkcji wojen oraz strategii, nie ulega zmianom”⁴. W swej rygorystycznej definicji Gray stwierdza, że strategia to „wykorzystywanie siły i gróźb posłużenia się siłą dla realizacji celów politycznych”⁵.

Astropolitik stanowi przedłużenie głównie dziewiętnastoi dwudziestowiecznych teorii z zakresu globalnej geopolityki, ujmowanych w tym szerokim kontekście, jakim jest podbój przestrzeni kosmicznej przez człowieka

Grożby te mogą być wprost lub nie wprost wyrażane, ale związek między przemocą i polityką jest czymś podstawowym dla zrozumienia wielkiej strategii. Choć współcześnie takie podkreślanie prymatu wojny i przemocy – należących do high politics, jak określa się to w realistycznym słownictwie – przy formułowaniu wielkiej strategii może wydawać się barbarzyńskie, nieszczerze i wręcz lekkomyślne byłoby zaprzeczanie temu, że zarówno w krótkich dziejach operacji kosmicznych, jak i w ich niedalekiej przyszłości dominującą rolę

odgrywają i będą odgrywać państwa terytorialne oraz działania militarne. Choć państwa publicznie odzeganą się od wykorzystywania przemocy i siły w operacjach kosmicznych, wszystkie kraje obecne w kosmosie mają wojskowe misje i cele oraz dysponują planami awaryjnymi w tym zakresie. Będę się starał tutaj wykazać, że rzeczywistość konfrontacji w polityce kosmicznej przenika tę rzeczywistość, która odnosi się do ideału autentycznej współpracy i politycznej jedności w kosmosie – ideał ten nigdy nie był szczery i wydaje się mało prawdopodobne, by w bliskiej przyszłości udało się go zrealizować.

Gigantyczne wysiłki wkładane w podbój kosmosu byłyby dużo bardziej skuteczne, gdyby podejmował je zjednoczony świat

W tym miejscu konieczne jest chyba przedstawienie obrony wybranego przeze mnie, potencjalnie kontrowersyjnego tytułu. Termin „astropolityka” wydaje się dość nieszkodliwy. Przywołuje on na myśl nakładające się na siebie sfery polityki i technologii ery kosmicznej. Ma on wprawdzie węższe i bardziej dobitne znaczenie (jak zostanie wykazane), ale w tytule nie powinien razić. Natomiast Astropolitik, jak się mówi, to zupełnie inna para kaloszy. Jednak taki właśnie tytuł został wybrany celowo i po długim namyśle. W tekście nigdzie nie dochodzę do wniosku, że surowe, realistyczne podejście jest jedynym możliwym w odniesieniu do przyszłości

eksploracji i eksploatacji kosmosu. Po prostu stwierdzam, że jak dotąd taki model przeważał i że politycy powinni być w przyszłości gotowi do radzenia sobie w kontekście takich relacji w kosmosie, które będą opierać się na rywalizacji i pozostaną zdominowane przez państwa. Nie sugeruję też nigdzie, że taka sytuacja jest czymś nieuniknionym czy nawet prawdopodobnym. W moim przekonaniu podtrzymywanie na dłuższą metę tego typu polityki jest szkodliwe i przynosi efekty przeciwne do zamierzonych. Gigantyczne wysiłki wkładane w podbój kosmosu byłyby dużo bardziej skuteczne, gdyby podejmował je zjednoczony świat – choćby dlatego, że do ponoszenia ogromnych kosztów na rzecz naprawdę szeroko zakrojonego zdobywania kosmosu i jego kolonizacji może być konieczny entuzjazm i wsparcie ze strony wszystkich mieszkańców Ziemi. Ujmując to prosto, w świecie nowożytnych, narodowych państw terytorialnych (których upadek był przedwcześnie ogłaszany)⁶ dylematy działania zbiorowego uniemożliwią tym podmiotom wspólną eksploatację kosmosu, zaś wysiłki mające nakłonić poszczególne kraje do współpracy będą przynosić żadne lub wręcz odwrotne skutki. Kwestie te są bardziej szczegółowo omówione w rozdziałach od czwartego do szóstego. W krótkiej perspektywie czasowej, mimo naszych jak najlepszych intencji, w kontekście eksploracji kosmicznej możemy być skazani na paradygmat brutalny, pełen dysonansów i całkowicie realistyczny.

A zatem termin Astropolitik został wybrany tak, aby stale przypominał tym, którzy będą czytać tę książkę i uważnie szacować wiele z przedstawionych tu twierdzeń, o przerażających skrajnościach, w jakie z czasem wyradzały się inne oparte na geopolityce formy Realpolitik, będące

strategiami zapewniania sobie dominacji. Niemiecka szkoła Geopolitik, wbrew niejednoznaczny zamierzeniom jej założycieli, przekształciła się w rasistowską i zupełnie nienaukową koncepcję wyższości „rasy aryjskiej” i jej nieuniknionego panowania nad światem. Również Geopolitik była wielką strategią, planem działania mającym prowadzić do podboju. Niezależnie od dobrych intencji autora niniejszej pracy ewidentnie widać, że Astropolitik ma potencjał do bycia źle stosowaną i nadużywaną. Teoria ta opisuje geopolityczne podstawy zdobywania władzy w przestrzeni kosmicznej i obejmuje sugestie dotyczące zapewniania sobie dominacji za pomocą środków militarnych. Ignorowanie takich strategii przez polityków jest niebezpieczne dla państwa. Gdy dochodzi do wyłonienia się nowej teoretycznej perspektywy, która idzie w poprzek dotychczasowej ideologii, nie da się tego zmienić po prostu życzeniowym myśleniem. Jakież państwo zapewne przyswoi sobie zasady Astropolitik i w konsekwencji może zapanować nad kosmosem. Pozostaje mieć nadzieję, że dokona tego jakiś stosunkowo nieagresywny kraj. Tak więc poniższe wywody są przeze mnie przedstawiane z pewną obawą i niepokojem. Rozumiem i przyjmuję opinię, zgodnie z którą praktycy przekonani o tym, że świat jest złym i niebezpiecznym miejscem, swoimi działaniami przeważnie wciąż przyczyniają się do utrwalania takiego właśnie stanu rzeczy. Zanim jednak popadnę tutaj w egocentryczne „bicie się w piersi”, niezbędne jest podkreślenie, że ani astropolityka, ani Astropolitik nie analizują rozmaitych motywacji kierujących tymi, którzy mogą wcielać te koncepcje w życie. W poniższych rozdziałach pada kilka konkretnych postulatów. Najważniejsze spośród nich dotyczą ustano-

wienia nowego ustroju w odniesieniu do przestrzeni kosmicznej – mogącego przyczynić się do ponownego rozpalenia tego ferworu eksploracji kosmosu, którego szczyt przypadł na lata sześćdziesiąte XX wieku – oraz prowadzenia takiej polityki militarnej, jaka opiera się na kontroli terytorialnej. Ani żadne z tych posunięć samo w sobie, ani leżące u ich podstaw stanowisko realistyczne nie powodują z konieczności złych lub szkodliwych skutków. Jednakże kryjące się za nimi zasady nie mogą i nie powinny być odrywane od swej przeszłości. A zatem tytuł niniejszej książki został dobrany tak, by służył jako nieustanne przypomnienie o tej przeszłości oraz jako ponure ostrzeżenie na przyszłość.

Opierający się na twardym realizmie paradygmat, głoszący wszechobecność przemocy i strachu, nie może i nie powinien być oddzielany od Astropolitik. Ta ostatnia bowiem jest praktyczna i pragmatyczna

Sam fakt, że przyjęta tu została sformułowana przez Gray’a definicja strategii – stanowiąca zresztą modyfikację słynnego, choć często błędnie interpretowanego stwierdzenia Clausewitza, zgodnie z którym wojna jest przedłużeniem dyskursu politycznego, realizowanym za pomocą innych (skrajnych) środków – wskazuje, iż opierający się na twardym realizmie paradygmat, głoszący wszechobecność

przemocy i strachu, nie może i nie powinien być oddzielany od Astropolitik. Ta ostatnia bowiem, podobnie jak Realpolitik, jest praktyczna i pragmatyczna – nie ma ona charakteru ładnego, podnoszącego na duchu czy radosnego kazania dla mas. Jednak nie jest też sama w sobie zła. To, czy dobrze służy ona ludziom, czy też okazuje się dla nich złowroga zależy od tego, jak jest wykorzystywana i przez kogo. Na przykład istnieje możliwość, że krytyczne rozumienie twierdzeń, jakie ostrożnie tu wysuwam, skłoni czytelnika do przyjęcia takiej wizji przyszłości, zgodnie z którą oparta na przemocy rywalizacja ulegnie przeniesieniu w dziedzinę gospodarki. W takim przypadku państwa będą konkurować ze sobą w sposób produktywny, a ich naturalna skłonność do szukania własnych zysków zostanie zaprzęgnięta do budowania korzystnej dla wszystkich przyszłości – taka rywalizacja będzie opierać się na sprawiedliwej i zgodnej z prawem komercyjnej eksploatacji kosmosu. Aksjomaty astropolityki i Astropolitik równie dobrze pasują do środowiska pogrążonego w nieustannych konfliktach, co do takiego, w którym panuje gospodarcza konkurencja.

Coraz liczniejsze świadectwa empiryczne wskazują, że upowszechnianie się współczesnej demokracji liberalnej wywiera pacyfikujący wpływ na stosunki międzypaństwowe. Kraje liberalno-demokratyczne nie toczą ze sobą wojen i choć występują między nimi znaczące konflikty interesów, przy rozwiązywaniu sporów wydają się one rzadko odwoływać nawet do gróźb posłużenia się militarną przemocą. Koszty realizacji takiego programu kosmicznego, który zapewniłby dominację, pociągają za sobą tak ogromne obciążenia dla krajowej gospodarki, że najbardziej prawdopodobnymi kandyda-

tami do jego podjęcia oraz podtrzymywania są właśnie rozwinięte państwa liberalno-demokratyczne. Na podstawie powyższych obserwacji można mieć nadzieję, że w miarę, jak coraz więcej państw ulega demokratyzacji, wciąż powiększać się będzie demokratyczna strefa pokoju, ostatecznie obejmująca cały glob, a następnie rozszerzająca się na kosmos, co doprowadzi do nastania epoki prawdziwej współpracy i stabilności.

**Tytuł niniejszej książki
został dobrany tak, by służył
jako nieustanne
przypomnienie o tej
przeszłości oraz jako ponure
ostrzeżenie na przyszłość**

Choć owo zjawisko zostało po raz pierwszy opisane pod kątem empirycznym przez Davida Singera i Melvina Smalla, to Michael Doyle rozbudził zainteresowanie swą próbą powiązania obserwacji z Kantowskim twierdzeniem, że państwa liberalno-demokratyczne są w naturalny sposób mniej skłonne do prowadzenia wojen⁷. Testy tej hipotezy wykazały, że państwa demokratyczne wydają się równie gotowe do angażowania się w działania wojenne, co kraje o alternatywnych formach politycznej organizacji. Natomiast tym, co intrygujące – i obiecujące – są empiryczne świadectwa i przesłanki wskazujące na to, że państwa demokratyczne nie toczą wojen między sobą⁸. Wyjaśnienia przyczynowe tego faktu przeważnie odwołują się do strukturalnych i normatywnych czynników wpływających na po-

tencjał państw i kompetencje ich przywódców – rozważania te należą do najbardziej wyrafinowanych analiz dotyczących poziomu międzypaństwowego, jakie prowadzone są w obecnych debatach z zakresu nauk politycznych⁹. Jeśli liberalna demokracja rzeczywiście stanowi wystarczający warunek wstępny do zaprowadzenia międzypaństwowego pokoju, to teoria demokratycznego pokoju wyznacza zarówno środki, jak i cele dla ustanowienia stabilnego, pokojowego porządku światowego (a przypuszczalnie również kosmicznego). Wszelkie przedsięwzięcia polityczne, które mogłyby skutecznie nasilać proces demokratyzacji państw autorytarnych i rozwijających się, przyniosą pozytywne skutki w stosunkach międzypaństwowych i powinny być poważnie brane pod uwagę. Gdy wszystkie państwa będą już demokratyczne, wojna stanie się społecznym reliktem. Astropolityka i Astropolitik uwzględniają też społeczne i kulturowe konsekwencje wprowadzania nowych technologii – w tym przypadku technologii kosmicznych – dla ewolucji instytucji politycznych (zob. rozdziały drugi i piąty). Pojawia się tu kwestia tego, jaki kierunek może przybrać demokratyzacja zmiennych astropolitycznych – choć zagadnienie to nie zostaje definitywnie rozstrzygnięte. Niemniej jeśli eksplorację i eksploatację kosmosu prowadzą w pierwszym rzędzie państwa demokratyczne i jeśli właśnie te kraje są najlepiej wyposażone do podtrzymywania rozwiniętych programów kosmicznych, to główne założenia Astropolitik okazują się same w sobie mniej złowrogię (ponieważ mało prawdopodobne jest, by wspomniane państwa wchodziły w siłowe konfrontacje ze sobą), a zatem mogą być wykorzystywane do budowania handlowej i systemowej stabilności (przez wkład w pilnowanie

porządku) oraz do skutecznego zwiększania gospodarczych korzyści.

Jak nie trzeba nawet wspominać, dominująca jest jednak teza przeciwna. Z punktu widzenia wielu tradycyjnych teoretyków pokoju, koncentrujących się na kwestii eliminowania wojen poprzez redukcję i likwidację militarnych zdolności podejmowania walki, teoria pokoju demokratycznego wydaje się w pełni wpiasywać w przyjmowane przez nich stanowisko. Skoro wojna jest problemem, jaki demokracja ma rozwiązywać, to ich zdaniem narzędzia wojny są „antydemokratyczne”¹⁰. Powszechnie panujące przekonanie, że rozbieranie sprzyja pokojowi,

**Większość osób
zajmujących realistyczne
stanowisko w kontekście
relacji międzypaństwowych
woli bagatelizować teorię
demokratycznego pokoju**

zostało już dawno temu dostrzeżone, a następnie szybko podważone przez tak znakomitych teoretyków jak Friedrich Schumann i Hedley Bull¹¹. Niemniej idea ta wciąż się utrzymuje i stanowi normatywny fundament światowego ruchu pokoju¹². Zgodnie z tą argumentacją redukcja lub likwidacja uzbrojenia służy krzewieniu pokoju i zmniejszeniu zagrożeń zewnętrznych, co z kolei pomaga w wewnątrz krajowym rozwijaniu wolności jednostkowej. William Thompson dochodzi do takiego właśnie wniosku, przekonując, że to pokój jest przyczyną demokracji, a nie na odwrót¹³. Co więcej, twierdzą teoretycy po-

koju, gdy wszystkie państwa będą już demokratyczne, nie będzie potrzeby utrzymywania sił militarnych, jakie konieczne są do prowadzenia wojen, a zatem wszystkie kraje będą mogły – albo wręcz będą do tego przymuszone społeczno-gospodarczymi okolicznościami – doprowadzić do końca proces rozbrajania się. Z perspektywy zwolenników takiego stanowiska astropolityka i Astropolitik będą czymś politycznie i społecznie nagannym albo wręcz niebezpiecznym. Preferowana jest taka wizja, zgodnie z którą ludzkość miałaby wkroczyć w kosmos bez broni, wojowników i teoretyków podążających w ślady Clausewitza. Jeśli urzeczywistniony będzie model rozbrojeniowy, pokojowa koegzystencja jest nieunikniona. Jednak niestety dla wyznawców tej utopijnej koncepcji, krótka historia eksploracji kosmosu już zdążyła zadać jej kłam. Militaryzacja przestrzeni kosmicznej i traktowanie jej jako narzędzia wojny jest nie tylko historycznym faktem, ale też wciąż trwającym procesem.

Większość osób zajmujących realistyczne stanowisko w kontekście relacji międzypaństwowych woli bagatelizować teorię demokratycznego pokoju (niniejsza praca stanowi pod tym względem znaczący wyjątek). Zapewniają one, że wspomniana korelacja jest przypadkowa i że państwa demokratyczne jak dotąd nie toczą ze sobą wojen po prostu dlatego, iż w ich przypadku nie doszły jeszcze do głosu tradycyjne bodźce skłaniające do realizowania polityki siły¹⁴. Państwa demokratyczne istnieją na to zbyt krótko, a w tym niedługim czasie zawsze sprzymierzały się w celu zwalczania takich ideologicznych stanowisk, które dążyły do położenia kresu liberalizmowi – najpierw był to monarchizm, później faszyzm, a następnie komunizm. Jak wskazują rea-

liści, państwa liberalno-demokratyczne dopiero od niedawna graniczą ze sobą nawzajem, gdyż we wspólnocie narodów zyskały sobie one status znaczącej mniejszości dopiero po 1945 roku. Zwolennicy realizmu przekonują, że uzbrojenie i siły zbrojne nie są czynnikiem destabilizującym – tym, co się liczy, są postawy i przekonania ludzi potencjalnie ową bronią dysponujących. Państwa muszą antycypować przyszłe nasilenie się rywalizacji o zasoby oraz rynki i powinny spodziewać

**Gdyby udało się „okiełznać”
i konstruktywnie
wykorzystać na Ziemi obfite
bogactwa kosmosu,
zdecydowanie wzrosłaby
zamożność wszystkich ludzi**

się, że kraje demokratyczne (niezależnie od wewnętrznego ustroju władzy) będą postępować tak samo jak inne podmioty dążące do optymalizacji swojej siły. Stabilny pokój – będący czymś w pełni pożądanym, lecz kruchym – można osiągnąć tylko poprzez równoważenie strategii służących zapewnianiu sobie przez poszczególne kraje silnej pozycji¹⁵. W świecie mniej zmilitaryzowanym państwa demokratyczne mogą okazać się szczególnie podatne na niebezpieczeństwa, gdyż tworzące je społeczeństwa przeważnie są bardziej otwarte, a mobilizacja jest w nich czymś publicznym i trudnym – przez to są one narażone na wyprzedzające ataki z zewnątrz¹⁶. W tych warunkach wszystkie państwa powinny unikać likwidowania lub nadmiernego osłabiania swoich sił

zbrojnych, które oznaczałoby wręcz prośenie się o wojnę.

Stanowisko realistów jest dobrze uargumentowane i rodzi pewne wątpliwości w odniesieniu do licznych świadectw empirycznych, na jakie powołują się zwolennicy koncepcji demokratycznego pokoju. Jeśli przyjmiemy na moment – wyłącznie jako analityczne założenie – twierdzenie, zgodnie z którym państwa liberalno-demokratyczne nie toczą ze sobą wojen, to możliwe będzie wyobrażenie sobie alternatywnej przyszłości, opartej na nadzwyczajnej współpracy. W rzeczy samej, jeśli tego typu państwa faktycznie ze sobą nie walczą, to posiadanie przez nie dużej ilości uzbrojenia czy dawanie

Czytelnicy natrafią tu na argumenty przemawiające zarówno za pokojową wizją przyszłości, jak i przeciwko niej

wyrazu pro-militarnym postawom nie powinny stanowić większego zagrożenia. Nawoływanie do rozbijania się może być uzasadnione pod względem ekonomicznym, ale nie powinno być czymś koniecznym. Państwa liberalno-demokratyczne nie mają czego się bać ze strony innych krajów o takim samym ustroju, a rozmiar i moc ich sił zbrojnych nie musi rodzić obaw. Jeśli ponadto przyjmie się, że stabilny pokój międzypaństwowy jest celem zarówno teorii liberalnej, jak i tej realistycznej – o tyle rozsądnym, że taki właśnie pokój stanowi „Święty Graal” dla teoretyków stosunków międzynarodowych odkąd pojawiła się hipoteza o możliwości

globalnej destrukcji wskutek konfliktu nuklearnego – to powstaje przestrzeń, w której teorie te mogą okazać się kompatybilne ze sobą. Środki postulowane w ramach jednej szkoły (głoszona przez realistów potrzeba militarnej gotowości) są możliwe do pogodzenia ze środkami (liberalną demokratyzacją) i celami drugiej (globalnym, a następnie międzygwiazdowym pokojem, będącym konsekwencją pełnego zapanowania demokracji). Tym, co je harmonizuje, jest sama demokracja.

Znaczna część teorii demokratyzacji słusznie podkreśla rolę społeczno-gospodarczych czynników jako podstawy demokracji – we własnej analizie nie zamierzam podważać tego istotnego aspektu dobrze ugruntowanej teorii. Jeśli już, relacja między wzrostem zamożności i rozwojem demokracji stanowi „żelazne prawo” nauk politycznych. Gdyby udało się „okiełznać” i konstruktywnie wykorzystać na Ziemi obfite bogactwa kosmosu, zdecydowanie wzrosłaby zamożność wszystkich ludzi (przynajmniej jeśli chodzi o dochód per capita, ale bez wątplenia również pod innymi, znaczącymi względami). Wyraźny napływ kapitału – który nastąpił choćby w XVI wieku po odkryciu Nowego Świata przez Hiszpanów – staje się zapalnikiem dla systemowego boomu gospodarczego. Przyjmowane w astropolityce i w Astropolitik zasady sprzyjają tego typu gospodarczym przedsięwzięciom, zaś wzrastanie zamożności powinno skutkować również nasilaniem demokratyzacji, ograniczając tym samym negatywne konsekwencje militaryzacji związanej z eksploracją kosmosu. Owszem, w państwach zbyt agresywnie dążących do zapewnienia sobie siły militarnej spadać będzie gospodarcza produktywność. Jeśli do wybuchu wojny nigdy nie dojdzie, wszelkie próby przygotowania się na jej ewentual-

ność okazać się (z liberalnego punktu widzenia) marnotrawstwem środków. Lecz jeśli demokratyczny pokój nie będzie wystarczająco stabilny i w przyszłości państwa demokratyczne faktycznie mogą musieć prowadzić wojny, realisci nie będą mieli poczucia, że niepotrzebnie zrezygnowali ze zdolności defensywnych. Jeśli teorii zostanie zadany kłam, pokój będzie można podtrzymać dzięki czujności i potędze sił zbrojnych.

Astropolityka i Astropolitik kreślą tylko jedną z możliwych wizji przyszłości,

która nie jest w stanie dokładnie antycypować rzeczywistych wydarzeń światowych. Dostarczają zaledwie prognoz dotyczących tego, jaki może być model, jeśli przyjmie się określone założenia. Czytelnicy natrafią tu na argumenty przemawiające zarówno za pokojową wizją przyszłości, jak i przeciwko niej. Jednak Astropolitik sama w sobie ani nie stanowi zagrożenia dla tego pokoju, ani nie gwarantuje, że podejmowane będą wrogie działania militarne.

¹ Spośród licznych prac Dandridge'a Cole'a na ten temat zob.: *Beyond Tomorrow. The Next 50 Years in Space*, Amherst 1965; (wraz z D. Cox) *The Challenge of the Planetoids*, Filadelfia 1963; (wraz z I.M. Levitt) *Exploring the Secrets of Space. Astronautics for the Layman*, Londyn 1963. Zob. też M. Vaucher, *Geographic Parameters for Military Doctrine in Space and the Defense of the Space-Based Enterprise*, [w:] *International Security Dimensions of Space*, red. U. Ra'ana i R. Pfaltzgraf, Medfords 1984, s. 32–46. Moja własna, początkowa próba sformalizowania tego modelu została opublikowana jako artykuł: *Geopolitics in the Space Age*, „Journal of Strategic Studies”, nr 22, 1999, s. 83–106; tekst ten został również uwzględniony w: *Geopolitics. Geography and Strategy*, red. C. Gray i G. Sloan, Londyn 1999, s. 83–106.

² Zob. W. McDougall, *...the Heavens and the Earth*, Nowy Jork 1987. Książka ta, za którą McDougall otrzymał w 1986 nagrodę Pulitzera w dziedzinie historii, obejmuje historię eksploracji kosmosu tylko do 1985 roku. Tekstem, który znakomicie radzi sobie z kontynuacją tej sagi do drugiej połowy lat dziewięćdziesiątych XX wieku, jest: M. Von Bencke, *The Politics of Space. A History of US–Soviet Competition and Cooperation*, Boulder 1997.

³ Zob. C. Gray, *Modern Strategy*, Londyn 2000, s. 1. Gray konkretnie stwierdza: „elementy wspólne wojnom toczonym we wszystkich epokach, we wszystkich miejscach geograficznych i przy użyciu wszystkich technologii”.

⁴ Ibidem.

⁵ Ibidem, s. 17.

⁶ Zapowiadał go już w 1957 roku John Herz. Zob. tenże, *The Rise and Demise of the Territorial State*, „World Politics”, nr 9, 1957, s. 473–493. Nowszą pracą jest: A. Linklater, *Citizenship and Sovereignty in the Post-Westphalian State*, „European Journal of International Relations” nr 2, 1996, s. 77–103.

⁷ Zob. D. Singer i M. Small, *The War-Proneness of Democratic Regimes*, „Jerusalem Journal of International Relations”, nr 1, z. 4, 1976, s. 50–69; M. Doyle, *Kant, Liberal Legacies, and Foreign Affairs*, cz. 1 i 2, „Philosophy and Public Affairs”, nr 12, z. 3 i 4, 1983, s. 206–235 i 323–353; zob. też idem, *Liberalism and World Politics*, „American Political Science Reviews”, nr 80, z. 4, 1986, s. 1151–1169.

⁸ Zob. S. Chan, *Mirror, Mirror on the Wall... Are Freer Countries More Pacific?*, „Journal of Conflict Resolution”, nr 28, z. 4, 1984, s. 616–648; E. Weede, *Democracy and War Involvement*, „Journal of Conflict Resolution”, nr 28, z. 4, 1984, s. 649–664; Z. Maoz i N. Abdolai, *Regime Types and International Conflict*, „Journal of Conflict Resolution”, nr 33, z. 1, 1989, s. 3–35. Zob. też D. Bremer, *Dangerous Dyads. Interstate War, 1816–1965*, „Journal of Conflict Resolution”, nr 36, z. 2, 1992, s. 309–401; idem, *Democracy and Militarized Interstate Conflict*, „International Interactions”, nr 18, z. 3, 1993, s. 231–249; W. Dixon, *Democracy and the Peaceful Settlement of International*

Conflict, „American Political Science Review”, nr 88, z. 1, 1994, s. 14–32.

⁹ Zob. J. Owen, *How Liberalism Produces Democratic Peace*, „International Security” nr 19, z. 2, 1994, s. 87–125; J. O’Neal, F. O’Neal, Z. Moazand, B. Russett, *The Liberal Peace, Interdependence, Democracy, and International Conflict, 1950–1985*, „Journal of Peace Research”, nr 33, z. 1, 1996, s. 11–28.

¹⁰ Typowe jest tu stanowisko Davida Aptera: „wojsko stanowi szczególnie istotną przeszkodę dla demokracji”. Zob. D. Apter, *The Politics of Modernization*, Chicago 1965, s. 450.

¹¹ Zob. F. Schumann, *International Politics*, wyd. 5, Nowy Jork 1953, s. 230; H. Bull, *The Control of the Arms Race*, Nowy Jork 1961, s. 31–33.

¹² Zob. G. Blainey, *The Causes of War*, Nowy Jork 1973, s. 135–137, 151–152.

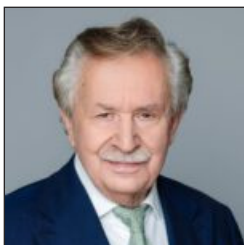
¹³ Zob. W. Thompson, *Democracy and Peace. Putting the Cart Before the Hores*, „International Organization”, nr 50, z. 1, 1996, s. 141–174.

¹⁴ Zob. J. Mearsheimer, *Back to the Future. Instability in Europe After the Cold War*, „International Security”, nr 15, z. 1, 1990, s. 5–56. Zob. też. R. Schweller, *Domestic Structure and Preventative War. Are Democracies More Pacific?*, „World Politics”, nr 44, z. 2, 1992, s. 235–269; D. Lake, *Powerful Pacifists. Democratic States and War*, „American Political Science Review”, nr 86, z. 1, 1992, s. 24–37; C. Layne, *Kant or Cant. The Myth of the Democratic Peace*, „International Security”, nr 19, z. 2, 1994, s. 5–49; S. Peterson, *How Democracies Differ. Public Opinion, State Structure, and the Lessons of the Fashoda Crisis*, „Security Studies”, nr 5, z. 1, 1995, s. 3–37. Ed Mansfield i Glenn Snyder ostrzegają, że niestabilność demokracji podlegających transformacji może podważać pacyfikujące skutki stabilnego liberalizmu. Zob. E. Mansfield, G. Snyder, *Democratization and War*, „International Security”, nr 20, z. 1, 1995, s. 5–38. Henry Farber i Joanne Gowa nie znajdują „żadnego statystycznie istotnego związku między demokracją a wojną do 1914 roku, [a] dopiero po 1945 roku prawdopodobieństwo wojny lub poważnych sporów staje się znacząco niższe w relacjach między państwami demokratycznymi niż jest to w przypadku przedstawicieli innych ustrojów”. Zob. H. Farber, J. Gowa, *Politics and Peace*, „International Organization”, nr 20, z. 2, 1995, s. 124.

¹⁵ Wciąż sporne jest to, czy bardziej stabilna jest równowaga (J. Mearsheimer, *Conventional Deterrence*, Ithaca 1983), czy nierównowaga władzy (A. Organski i J. Kugler, *The War Ledger*, Chicago 1980). Zob. E. Mansfield, *Power, Trade, and War*, Princeton 1994; R.H. Wagner, *Peace, War, and the Balance of Power*, „American Political Science Review”, nr 88, z. 3, 1994, s. 593–607; R. Powell, *Stability and the Balance of Power*, „World Politics”, nr 48, z. 1, 1996, s. 239–267.

¹⁶ Zob. B. Russett, *Grasping the Democratic Peace. Principles for a Post-Cold War World*, Princeton 1993, gdzie znajduje się najlepsze przeglądowe omówienie tego tematu.

Polska może przestać być słabym biorcą. Powstały nowe ramy naszego realizmu politycznego



GEN. LEON KOMORNICKI

General dywizji Wojska Polskiego w stanie spoczynku, był wiceszefem sztabu gen. WP. Przewodniczący zarządu Fundacji Poległym i Pomordowanym na Wschodzie.

Największy przewrót geopolityczny ostatnich lat polega według Radziejewskiego na tym, że hegemonia USA została zredukowana do liberalnego świata transatlantyckiego. W tym układzie sił Chin i USA nie mają też monopolu na mocarstwo

Każdy, kto w naszej intelektualnej i zawodowej przestrzeni zajmuje się polityką bezpieczeństwa i obronności, powinien pochylić się nad dziełem szczególnym, jedynym takim do tej pory w tej przestrzeni. Jest nim książka Bartłomieja Radziejewskiego „Nowy porządek globalny. Mocarstwa, średniacy i niewidzialne siły kierujące światem”. Jej szczególną wartością poznawczą i intelektualną jest realizm polityczny. Radziejewski nawiązuje nie tylko do dorobku jego polskich klasyków – do Adolfa Bocheńskiego, Eugeniusza Romera i Stanisława Cata-Mackiewicza – ale przede wszystkim twórczo i trafnie rozwija ich bogate przemyślenia we współczesną teorię tego realizmu, której wielcy poprzednicy nie stworzyli. Radziejewski definiuje w tej książce jej ponadczasowe ramy. Trafne sformułowanie tej teorii i jej uwarunkowań pozwala określić miejsce Polski w bliższej i dalszej przyszłości otaczającego nas świata, któ-

rego obraz autor przedstawia w sposób niezwykle realistyczny.

Koniec monopolu Chin i USA

Sam Bartłomiej Radziejewski twierdzi, że książka powstała w wyniku jego „intelektualnego oburzenia”. Towarzyszyła mu – nie po raz pierwszy – intelektualna odwaga, ale i trafny, realistyczny ogląd naszych skrzeczących, krótkowzrocznych, obarczonych słabością intelektualną elit. Radziejewski wskazuje na ich kompleksy i brak wiary w nasze siły i możliwości. Ocenia krytycznie polską debatę publiczną o współczesnym świecie, o miejscu i roli, które może i powinna odgrywać w nim Polska. To podejście pozwala autorowi na sformułowanie przyczyn i skutków takiego stanu rzeczy. Jego inspiracje i przemyślenia są w niezgodzie z dominującą w Polsce, mało realistyczną wizją relacji międzynarodowych (przede wszystkim

anglosaską) oraz z teorią i praktyką naszej polityki – w tym dotyczącej bezpieczeństwa i obronności – które deprecjonują znaczenie państwa średniej wielkości i jego rolę w międzynarodowej strukturze.

Autor książki formułuje polską teorię realizmu w kontekście bogatej i merytorycznie uargumentowanej syntezy oraz oceny wielobiegunowego, dynamicznie zmieniającego się globalnego środowiska bezpieczeństwa. Określa różne kategorie państw – od mocarstw światowych (a wśród nich – supermocarstw), poprzez państwa średniej wielkości, regionalnych i światowych moderatorów, do państw małych i słabych, nazwanych biorcami. Do tych ostatnich według oceny Radziejewskiego należy Polska.

W tej przestrzeni Europa Zachodnia, z której „wyniosła się” mocarstwo, jest na peryferiach nowego układu sił, a jej bezpieczeństwo zależy od Stanów Zjednoczonych

W ślad za tym autor książki udowadnia tezę, że sprowadzanie oceny i dyskusji na temat regionalnego i globalnego bezpieczeństwa jedynie do roli i znaczenia mocarstw jest krzywdzące wobec państw średnich, one bowiem istotnie wpływały i wpływają na historię świata i rywalizację mocarstw. W związku z tym ignorowanie ich roli i znaczenia jest poważnym błędem intelektualnym, który nie pozwala nam

właściwie zdefiniować wszystkich warunkowań regionalnego i globalnego bezpieczeństwa. Trudno nie zgodzić się z tą tezą autora.

W tej części książki Radziejewski stawia również tezę, że w obecnym wielobiegunowym świecie USA utraciły pozycję hegemonia – i obecnie nie żyjemy już w świecie zhegemonizowanym. Hegemonia USA została zredukowana do liberalnego świata transatlantyckiego, a Chiny i USA w obecnym układzie sił nie mają też monopolu na mocarstwo. Na tym polega według Radziejewskiego największy przewrót geopolityczny ostatnich lat. Ponadto stwierdza on, że w tej przestrzeni Europa Zachodnia, z której „wyniosła się” mocarstwo, jest na peryferiach nowego układu sił, a jej bezpieczeństwo zależy od Stanów Zjednoczonych. Nic nie wskazuje na to, aby ten stan miał ulec zmianie.

Co z Polską?

Kraj nasz – twierdzi Radziejewski – stać na samodzielną realną politykę, by awansować do grupy państw średniej wielkości i moderatorów regionalnych, a nawet światowych. Autor przedstawia jednocześnie, w jaki sposób można awansować do tego grona państw z pozycji państwa-biorcy. Prezentuje też wiele ciekawych, dobrze uargumentowanych działań i modelowych rozwiązań – na przykład dieścioczynnikowy model potęgi państwa czy model gry politycznej opartej o dwa-dzieścia-dziewięć reguł. Niezmiernie istotną uwagą strategiczną, która wybrzmiała w książce, jest przypomnienie czytelnikom, że bez realnej siły militarnej nie może być mowy o wysokiej pozycji państwa, nawet jeśli państwo to posiada relatywnie silną gospodarkę.

O ponadprzeciętnych walorach recenzowanej książki świadczy nie tylko fakt, że nawiązuje ona do bogatego dorobku polskiego realizmu politycznego i jego myślicieli. Przede wszystkim Radziejewski ten dorobek upraktycznia i rozwija w sposób usystematyzowany, z uwzględnieniem współczesnych uwarunkowań geopolitycznych i polskich realiów. „Nowy porządek globalny” powstał w wyniku ogromnego wysiłku intelektualnego autora, popartego jego niezwykłą dociekliwością.

**Sam Bartłomiej
Radziejewski twierdzi, że
książka powstała w wyniku
jego „intelektualnego
oburzenia”**

To książka napisana wbrew nowomodnemu, a dominującemu u nas, oderwanemu od rzeczywistości myśleniu oraz działaniu, przez które Polska traci szansę, by stać się państwem średnim i modera-

torem regionalnym, a w perspektywie i moderatorem światowym. Także w naszej sztuce wojennej, strategii militarnej, sztuce operacyjnej oraz taktyce zerwano z dorobkiem polskiego realizmu, zastępując go myśleniem anglosaskim, nieprzystającym do naszych uwarunkowań. Dlatego tak wysoka jest ranga podjętej przez Radziejewskiego problematyki dla naszego bezpieczeństwa oraz obronności. Atutem książki jest również synteza i analiza porównawcza doświadczeń oraz potrzeb różnych krajów.

Z pełnym przekonaniem książkę Radziejewskiego zarekomendować wszystkim politykom i wojskowym oraz instytucjom państwa, słuchaczom uczelni wojskowych, studentom uczelni cywilnych, ekspertom, przedstawicielom mediów publicznych i wszystkim czytelnikom interesującym się tą problematyką. Czytajmy „Nowy porządek globalny”, delektując się zawartymi w nim znaczącymi, istotowymi przemyśleniami i rozważaniami, bogactwem różnorodnych i ważkich treści. Znajdziemy tu bez trudu materiał do samodzielnej refleksji oraz zadumy nad otaczającą nas rzeczywistością.

Misja

Świat intelektualny – od mediów po uniwersytety – nie nadąza dziś za gwałtownymi przemianami rzeczywistości politycznej, gospodarczej i społecznej. Opisuje je w dużej mierze za pomocą kategorii z poprzednich epok. To zasadniczo obniża jakość rządzenia, które musi rozstrzygać dylematy przy użyciu wiedzy dostępnej w danej chwili. Deficyt tej ostatniej zwiększa ryzyko decyzji błędnych lub wręcz katastrofalnych, jak również – dominacji fałszywych ideologii. Polski dotyczy to w stopniu szczególnym, ze względu na trudne położenie geopolityczne i słabość intelektualną (uniwersytetów, mediów, think tanków).

Nowa Konfederacja powstała, by temu kryzysowi myśli przeciwdziałać. Na sześć zasadniczych sposobów:

- 1) zbieranie dostępnej wiedzy na strategicznie istotne tematy i tworzenie nowej
- 2) kształtowanie opinii elit i polskiej kultury strategicznej
- 3) pomoc rządzącym różnych opcji politycznych poprzez radę i krytykę
- 3) oddziaływanie na główny nurt debaty za pomocą komentatorstwa politycznego
- 4) przybliżanie dziennikarzom i politykom ważnych idei rodzących się w niszach eksperckich i akademickich
- 5) utrzymywanie realnej niezależności od partii politycznych, wyścigu o klikalność, wielkiego kapitału
- 6) formułę thinkzine’u: pierwszego w Polsce i prawdopodobnie na świecie think tanku i magazynu publicystycznego w jednym, umożliwiającą lepszą komunikację i synergę między ekspertami z różnych dziedzin oraz między specjalistami a publicystami i intelektualistami; wszystko po to, aby po pierwsze: zwiększać poziom wiedzy specjalistycznej, po drugie i ważniejsze: budować całościowy obraz rzeczywistości.

Działamy w duchu ordokonserwatywnym: szukania ładu społecznego w błyskawicznie zmieniającej się rzeczywistości oraz kultywacji wartości wiecznych i sprawdzonych w czasie.

Nasze główne wartości to:

- odrzucenie nihilizmu, cynizmu i ekonomizmu na rzecz **służby wspólnotom, zwłaszcza polskiej wspólnoty politycznej**
- **dbałość o państwo**: posiadanie niepodległej organizacji politycznej uważamy za jedną z najwyższych wartości w życiu narodu, podobnie jak zabiegi o jej sprawność, trwałość, konkurencyjność na arenie międzynarodowej; jesteśmy państwowcami
- **zdrowy indywidualizm**, realizujący się we wspólnotach i dla wspólnot, a nie tylko dla siebie

- **realizm**: twarde stąpanie po ziemi i odrzucenie wszelkich obietnic raję doczesnego, krytycyzm wobec romantyzmu politycznego, idealizmu i konstruktywizmu w podejściu do spraw międzynarodowych
- **współczująca merytokracja**: dążenie do “arystokracji cnót i zasług” wrażliwej zarazem na los słabych i pokrzywdzonych
- **inkluzywny elitaryzm**: tworzenie nowych elit w starym stylu, nowoczesnych i służebnych, stale otwartych na nowych ludzi
- **ordokonserwatywna ekologia**: rozumiana jako szacunek do przyrody i krajobrazu, ale też wyczulenie na zawłaszczanie szczytnych celów ekologicznych do partykularnych celów politycznych i biznesowych.

Jesteśmy **konfederacją** – związkiem obywateli dążących razem do dobra wspólnego, w sytuacji gdy inne instytucje zawodzą.

Jesteśmy niezależni tak od partii politycznych, jak i od rywalizacji na klikalność. Jest to możliwe przede wszystkim dzięki hojności naszych Darczyńców. Utrzymanie niezależności i poziomu merytorycznego oraz dalszy rozwój, przybliżający realizację powyższych celów zależą od utrzymania i rozwoju finansowania poprzez bezwarunkowe darowizny na cele statutowe. Pieniądze nie są dla nas celem, lecz środkiem do realizacji powyższej misji. Jeśli cenisz Nową Konfederację – wesprzyj ją.

Działalność

Do listopada 2017 r. „Nowa Konfederacja” była pierwszym w Polsce internetowym miesięcznikiem idei (pierwszych 51 numerów ukazało się w formule e-tygodnika, między październikiem 2013 a wrześniem 2014). Dziś „Nowa Konfederacja” to prawdopodobnie pierwszy na świecie thinkzine. To nowa forma instytucji eksperckiej i publicystycznej jednocześnie. Umożliwia to z jednej strony lepsze niż dotąd gromadzenie i tworzenie wiedzy specjalistycznej, z drugiej: efektywniejszą pracę nad całościowym opisem rzeczywistości publicznej.

Do tej pory podstawowym sposobem prezentacji takich owoców była publicystyka, która cały czas odgrywa ważną rolę w naszej działalności. Obecnie każde kolejne wydanie e-miesięcznika zawiera 10 materiałów – artykułów analitycznych, esejów, wywiadów. Dwa razy w tygodniu publikujemy komentarze reagujące na bieżące wydarzenia. Swoje miejsce ma u nas także felieton – wymierający gatunek na pograniczu dziennikarstwa i literatury pięknej, ukazujący się co najmniej raz w miesiącu.

Od listopada 2017 roku stawiamy także na działalność ekspercką. Specjaliści od spraw ustrojowych, międzynarodowych, prawa, obronności, gospodarki, samorządu i nie tylko publikują w „Nowej Konfederacji” raporty, analizy, komentarze eksperckie.

Zarówno publicyści, jak i eksperci związani z „Nową Konfederacją” występują w mediach, zarówno pracując w różnych tytułach, jak i występując w nich gościnnie czy komentując dla nich bieżące wydarzenia. Jesteśmy obecni na łamach największych polskich dzienników i tygodników, w internecie, na falach stacji radiowych, regularnie występujemy także w programach telewizyjnych stacji publicznych i prywatnych.

Ważnym elementem naszej działalności są także otwarte debaty, które organizujemy co najmniej raz w miesiącu. Zaproszeni przez nas goście – naukowcy, politycy i dziennikarze – dyskutują wokół kolejnych naszych publikacji, a także na bieżące tematy społeczno-polityczne. Jesteśmy obecni także w mediach społecznościowych – na Facebooku, Twitterze czy YouTube.

„Nową Konfederację” tworzą

Stali Darczyńcy: Adam Lausch-Holubowicz, Roland Woldański, Rafał Kozłowski, Lukasz Zajac, Kamil Kaczmarek, Wojciech Michna, Krzysztof Gwardys, Aleksander Zawisza, Andrzej Sergiel, Bartosz Brzuska, Grzegorz Nowak, Grzegorz Szuba, Jakub Stychno, Jan Kłosiński, Janina Sobczak-Kowalak, Jarosław Cymerman, Jarosław Prendota, Jerzy Martini, Jurek Ludwik, Kazimierz Woźniak, Maciej Nowicki, Maciej Sabat, Michał Kocur, Michał Kuliński, Mikołaj Podbielski, Paweł Buława, Piotr Kubiak, Rafał Ambrożewicz, Sebastian Walczak, Tomasz Hanaj, Tomasz Stasiak, Bartosz Marczuk, Joanna Baczała, Krzysztof Łyczba, Łukasz Karcz, Małgorzata Kurzawa, Mateusz Świerczek, Mirek, Piotr Jędorowicz, Piotr Tutak, Sławomir Gajowniczek, Bartłomiej Kachniarz, Sylwia Niederwieser, Tomasz Tarczyński, Tomasz Wątroba, Wojciech Chabasiewicz, Michał Macierzyński oraz Anonimowi Darczyńcy

Pozostali Darczyńcy: Mateusz Böhm, Artur Chojecki, Jacek Honczaruk, Michał Król, Ignacy Kodym, Maciej Szczytowski, Ewa Urbanek, Andrzej Dobrowolski, Dariusz Meiser, Jarosław Prendota, Amadeusz Putzlacher, Piotr Remiszewski, Michał Sabat, Piotr Woźny, Marek Nowakowski, Edyta Ostaszewska, Krzysztof Poradzisz, Konrad Rajca, Karol Tatar, Denis Wojtek, Grzegorz Zaton, Andrzej Biewald, Krzysztof Domarecki, Jacek Ebertowski, Kamil Ludwiczuk, Piotr Przybysz, Maciej Stańczuk, Krzysztof Soja, Jan Bondyra, Piotr Maliszewski, Wojciech Nedwed, Grzegorz Szura, Kamil Szymik, Paweł Wojtecki, Antoni Bielewicz, Krzysztof Popowski, Paweł Majewski, Adrian Pabich, Rafał Dąbrowski, Bartłomiej Kawalek, Wojciech Maksymowicz, Bożenna Zalewska, Tomasz Żukowski, Alex Klarman, Darek Lasocki, Krzysztof Popowski, oraz Anonimowi Darczyńcy

(Lista Darczyńców jest uaktualniana na początku każdego miesiąca)

Zespół: Bartłomiej Radziejewski (Dyrektor), Anna Szczerbata (Dyrektor ds. organizacyjnych i finansowych), Aleksandra Flis (Dyrektor Wydawnictwa Nowej Konfederacji), Ewa Makowska (Kierownik ds. promocji i fundraisingu, wicesekretarz NK), Milena Duda (Specjalista ds. promocji), Gabriela Masztafiak (Kierownik księgarni oraz działu debat), Stanisław Kruszona-Barełkowski (Specjalista ds. wydarzeń), Katarzyna Karpik (asystentka zespołu), Jarema Piekutowski

Rada Programowa NK: Przemysław Gębala, Robert Kuraszkiewicz, Stanisław Maksymowicz, Bartłomiej Radziejewski, Anna Szczerbata, Krzysztof Zalewski, Jarema Piekutowski

Stali współpracownicy: Paweł Behrendt, Łukasz Kobeszko, Michał Lubina, Stanisław Maksymowicz, Rafał Matyja, Anna Mieszczanek, Andrzej Mikosz, Adam Radzimski, Marek Wojnar, Karol Zdybel, Adam Michalak, Witold Sokała, Piotr Celiński, Patryk Gorgol, Krzysztof Sękowski, Tomasz Gajewski

Współpracownicy: Michał Beim, Ludwik Dorn, Błażej Duber, Stanisław Gasik, Tomasz Geodecki, Tomasz Grzegorz Grosse, Elżbieta Hibner, Maria Libura, Damian Maziarz, Filip Memches, Tomasz Pichór, Tomasz Pułról, Witold Repetowicz, Jan Rokita, Błażej Sajduk, Wojciech Stanisławski, Zbigniew Stawrowski, Barbara Szewczyk, Artur Wołek, Krzysztof Wołodźko, Roman Graczyk, Paweł Średziński, Andrzej Horubała, Michał Chudoliński

Grafika (okładki): Piotr Promiński

Korekta i redakcja stylistyczna: Jarema Piekutowski

Skład: Rafał Siwik

Wydawca: Fundacja Nowa Rzeczpospolita

Kontakt: redakcja@nowakonfederacja.pl